



ZACHĘCAMY
DO PRZECZYTANIA
TEGO NUMERU!

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 12. VIII. 62 r.

Nr 32 (232)

Cena 1 zł

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

WYTRZESZCZAJMY OCZY!

Wchodzisz do sklepu samoobsługowego. Cztery sprzedawczynie stoją pod ścianami jak na warcie. Wbijają cię krzyżowym ogniem spojrzeń. Bierzesz w rękę koszyk. Podchodzisz do pierwszego stoiska. Oczy sprzedawczyń biegają ci po dłoniach. Masz akurat ochotę sięgnąć do kieszeni po chustkę do nosa. Nie sięgasz, bo któraś z nich gotowa pomyśleć, że coś chowasz.

DOBRO I ZŁODZIEJ

Otwieraniu sklepów samoobsługowych przyświecała troska o dobro i wygodę klienta: szersza ekspozycja towarów, możliwość dokładnego obejrzenia i wyboru, usprawnienie procesu kupna — likwidacja kolejek, czyli zysk na czasie. Dalej — wzrost estetyki opakowań czyli przyjemność dla oka i wzmożenie apetytu. Wreszcie — oddziaływanie wychowawcze — bierzesz sam, my ci ufamy, a jeżeli zawiedziesz nasze zaufanie, to cię wychowamy.

Z dobrem klienta łączyło się dobro sprzedawcy: klient sam się obsługuje — sprzedawca odpoczywa. Sprzedawcę, niezbyt chętnego do podejmowania ryzyka sprzedaży w sklepie samoobsługowym, zachęcano do eksperymentu wyższym zarobkiem. Z dobrem klienta łączyło się też dobro państwa: pacykowany towar, a taki przeważa w „samach”, utrudnia machinacje nieuczciwych sprzedawców. Wreszcie (ale to tajemnica!) dobro klienta łączyło się z dobrem dyrektorów i prezesów przedsiębiorstw handlowych, którzy za każdy nowo otwarty „sam” otrzymywali wysoka premie pieniężna.

Takie założenia i bodźce ekonomiczne przyświecały narodzinom „samów”. Założenia (bodźce już zgasyły) przyświecają właściwie nadal, tylko że ich jasne światło przyćmiewa nadmiar oddziaływania wychowawczego, tego z milicją i sądami. Wia-

domo, że krasnoludek ze świecą szukał złodzieja po Szwecji i Danii, a w Polsce to już świecy szukał, bo mu ją skradli.

Co tam zresztą krasnoludek. Zbierając materiał do artykułu o „samach”, byłem świadkiem mniej dowcipnego wydarzenia na ulicy Próchnika: jakiś młody mężczyzna wyrwał kobiecie portmonetkę z ręki i zwiął. Współczuję wam, kierownicy i sprzedawcy „samów” — pomyślałem wtedy.

LAPAJ, TRZYMAJ!

Wielu kierowników „samów” ścigało już amatorów bezpłatnego kupna ulicami naszego miasta. Władysław Ronduda kierownik „samu” PSS przy ul. Piotrkowskiej 134 gonął klienta, który nie zapłacił za wino. Hieronim Jeziorski kierownik „samu”

Dalszy ciąg
na str. 4



Foto: A. Rzepa.

ANDRZEJ BRYCHT

BLASK i BRUD

gastromonicej miski

ŁÓDZKI BAŃDEKER GASTRONOMICZNY

„Pokaże panu teraz jeden z najładniejszych lokali łódzkich — tak jak poprzednio

przyszedłem — najładniejszy oczywiście ze względu na tzw. wystrój wnętrza — i to też niezapelnienie, bo ten „wystrój” wydarty jest, odrapany i brudny w tym konkretnym, interesującym nas przypadku. Jest to sprawa bolesna, bardzo nawet bolesna — mówił pan Nowak, gdyśmy się spotkali po raz drugi — „przykro mi o tym opowiadać, ale bardzo proszę, niech pan wreszcie przerwie tę wynikającą chyba z przypadkowego zbiegu okoliczności powszechną „zmowę milczenia” i publicznie opisz, to, co jest w Łodzi tajemnicą poliszynela i co uczciwi ludzie nazywają po prostu skandalem”.

Spełniam prośbę pana Nowaka oraz wszystkich panów Nowaków, zainteresowanych losami łódzkiej gastronomii: opisuję tę tajemnicę poliszynela, ten skandal, którego nikt, jak dotąd, nie potrafi zlikwidować.

Otóż mamy przy ulicy Zachodniej, obok kina „Włókniarz” — restaurację „Casanova”. Jest to lokal dziennonocny, typu „non-stop”, otwarty niekiedy do późnorańca. Znakomite, przynajmniej z punktu widzenia konsumenta — warunki lokalowe, brak okien, dwupoziomy układ stolików, łóże — wszystko to stwarza intymną nastrój i predysponuje do restauracji do zdobycia miłośnika światłego, kulturalnego lokalu dancinowego. Niestety, tak nie jest. Kto jest temu winien? Nie wiem. Sądzę, że winni znajdują się wkrótce i albo „Casanova” stanie się lokalom na europejskim poziomie (bo stać ją na to) albo...

Ale do rzeczy — to znaczy: do zarzutów: Wiadomo, że każdy lokal ma określoną grupę stałych bywalców i ci właśnie nadają lokalowi charakterystyczne „oblicze” — w zależności, z jakich krę-

gów społecznych się rekrutują. Kim są stali bywalcy restauracji „Casanova”?

Powiedzmy szczerze, nie bójmy się mocnych, precyzyjnych określeń: są to w Niemce mierze prostytutki, złodzieje, sutenerzy, chuligani. A w każdym razie do nich to właśnie należy niepodzielnie ten jeden z najładniejszych lokali łódzkich. Wszystkie „córy Koryntu”, spacerujące przed północą na trasie ulicy Piotrkowskiej od Narutowicza do Andrzeja spotkają później pijane w sztok w „Casanovie”. Mogą być chyba powódź wielka milicja na temat „drak” i kradzieży, odbywających się prawie co noc w tym lokalu. Na razie ograniczmy się do relacji pana Nowaka:

Żeby sprawdzić opinię o „Casanovie” przychodziłem tam często, w różnych porach. Za każdym razem srotykałem w hallu milicję. To już o czymś świadczy, a na spokojnego gościa działa demoralizująco. Cóż jednak z tego, że milicja tam bywa? Płana prostytutka chwytła mnie za kłapy przy wejściu i belkocze: „kotuś, daj pięć dych, bo mi brak do rachunku, jak dasz, to pójdziemy razem”. Ponieważ nie wyraziłem ochoty, obrzuciła mnie „diętrowa wiazanka”, a ja cyś panowie o twarzach niemymych morderców (nie jest tak źle, byli to zaledwie sutenerzy — przyp. A.B.) dostąpili mnie i obiecali tzw. „banki”. Szatniarz słyszał wszystko i widział i uśmiechał się z wyrozumieniem mrugał do mnie przy tym, jakby chciał rzec: „wesolki, co? Takie jest życie, niestety...”. Innym razem znany łobuz K. M. dał gościowi w „ucho” i gość wpadł w łus-trę, którymi obłożone są ściany w hallu — lustra się potłukły. Niedawno gość gościa uderzył w łóżę i ten spadł na parkiet, przewracając ro drożdże stoliki. prostytutka o pseudonimie „Lolka-bandytka” pobila w ubikacji inną prostytutkę i ta wyskoczyła pokrwawiona na sale, wrzeszcząc i przeklinając. Inna znów „panienka” dostała tzw. „choróbki” spowodowanej nadmierną ilością alkoholu i miotała się z pianą na ustach między sto-



WIESŁAW BEK

Współczesne mapy województwa

Rzucony do wody kamień powoduje na jej powierzchni charakterystyczne kręgi. Tuż, obok gwałtowne, potem łagodniejsze. Im dalej od miejsca zakłócenia, tym woda marszczy się leniwiej, gdzieś na peryferiach pozostając spokojna.

Tak właśnie do niedawna było z mapą ekonomiczną okręgu łódzkiego. Włókiennicze centrum — Łódź, jedyny w swoim rodzaju w Europie kontynentalnej, uprzemysłowione miasta — satelity, wśród których prym

wiodły Zgierz i Pabianice, nieleczone ośrodki fabryczne, umieszczone na dalszej orbicie: Łódź, Tomaszów, Piotrków, Zduńska Wola... A na peryferiach województwa, w jego części południowej, w odległym Pajęcznie, Wielunju, Wieruszowie, jedynie namiastka wielkiego przemysłu — cukrownie, wapienniki, drobne zakłady przemysłu terenowego.

Tak było do niedawna, dopóki człowiek nie zajął się polodowcowymi reman-

entami. Choć może to niezupełnie ściśle — wcześniej jeszcze górnoludniajskie wapienie Pajęczniańskiego przyciągnęły pod Działoszyń wielką cementownię. Ale prawdziwe rewelacje przyniosły dopiero pierwsze próby przebicia się przez grubą warstwę pokładów polodowcowych: na północy — ruda żelazna, na południu — węgiel brunatny. Przez podmokłe, wierzchnie warstwy Łęczyckiego człowiek wrył się głęboko w ziemię, by wydrzeć z jej wnętrza

rudę, spod płasków Bełchatowskiego wydobywać będzie brunatny węgiel. 2 miliardy ton — szacują geolodzy. Czy wiecie, co to znaczy? Elektrownie-giganty zakłady przeróbki ubocznych produktów wydobycia — wszystko w oparciu o bełchatowski węgiel.

Kiedy na jednej z narad gospodarzy województwa pa-daly orientacyjne liczby planu perspektywicznego — przed oczyma przewijał się film przyszłości województwa, zbyt fantastyczny, by

obrazom tym od razu dać wiarę. Ale przecież zaledwie przed kilku laty równie trudno było uwierzyć w skarby Łęczyckiego!

Mówimy: lata powojenne zmieniły profil województwa — z rolniczego stało się przemysłowo-rolniczym. Jesli przed laty 60 proc. ludności utrzymywało się z rolnictwa, a 40 ze źródeł pozarolniczych, dziś jest już odwrotnie. Jaką jednak korektę do mapy województwa

Dalszy ciąg na str. 5

Dokończenie
na str.
2

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z: JANEM AUGUSTYNIAKIEM

dyrektorem Biblioteki Miejskiej
im. L. Waryńskiego w Łodzi



WROGU Nr 1 ŁÓDZKIM ks. BAUDOUINIE PERSPEKTYWACH CZYTELNICTWA

— Od jak dawna związany jest Pan z łódzką biblioteką?

— Jestem tu od początku jej istnienia. Stanowisko pierwszego dyrektora otrzymałem w 1916 roku. Byłem wtedy jeszcze bardzo młodym nauczycielem, a biblioteka w Łodzi dopiero powstawała...

— Zbliża się więc Pana piękny jubileusz?...

— Tak. W maju 63 roku obchodzić będę „złote gody” w swoim zawodzie.

— W swej długoletniej pracy zanotował Pan zapewne wiele ciekawych i miłych wspomnień. Jaki moment uważa Pan za najbardziej decydujący dla swej kariery znanego przecież bibliofila i kierownika zasłużonej placówki kulturalnej?

— Sroćkanie z Faustem Czerwińskim, dyrektorem Biblioteki m. St. Warszawy. Ten wybitny i jedyny wówczas w Polsce maestro naszej specjalności, wprowadził mnie, 23 letniego podówczas adepta, w trudne arkana wiedzy bibliotekarskiej. Do dziś pamiętam szczegóły, którym zaskarbiłem sobie jego pomoc i wskazówki. Chodziło o moją pracę z dziedziny wiedzy o bibliotekarstwie. W pewnym rozdziale poświęconym organi-

zacji bibliotek wspominałem, iż regałów na książki nie wolno robić z drzewa bukowego, gdyż w drzewie bukowym lubia gnieździć się robaki szorstkoskrzydłe (enobium petrinarum), które przewiercają książki jakby kulą karabinową na wylot. Ten tak mało znany szczegół z zakresu bibliotekarstwa zwrócił na mnie uwagę Czerwińskiego.

— Jakimi drogami doszła Łódź do tak pięknego i nowoczesnego gmachu dla swej biblioteki?

— Nie łatwym. Od 1917 roku biblioteka mieściła się w ciasnych pokojach przy ul. Piotrkowskiej 150, a potem Andrzeja 14. Do 1922 roku była własnością T-wa Bibliotek Publicznych w Łodzi. Bieda mieliśmy wielką. Pewna poprawa nastąpiła w okresie międzywojennym, z chwilą gdy bibliotekę przejął ówczesny Zarząd m. Łodzi. W 1935 roku postanowiliśmy wybudować własny gmach biblioteczny.

— Wyobrażam sobie jak heroiczna była ta decyzja...

— Nawet nie wyobraża sobie pani jak bardzo heroiczna i palcem na wodzie pisaną. Nie mieliśmy znikąd funduszy na ten cel. Kiedy zwróciłem się o pomoc do władz miejskich, otrzy-

małem tylko słowne poparcie i ani grosza pomocy. Zabawiłem się więc w łódzkiego jałmużnika. Jak legendarny ks. Baudouin wędrowałem od mieszkania do mieszkania zamożnych obywateli łódzkich, fabrykantów, mecenasów sztuki, zaglądałem do klubów towarzyskich i wreszcie trafiłem na jednego z możnych i wpływowych graczy, który pomógł mi stworzyć komitet budowy biblioteki, zasilając go na początek wcale nie małą sumką. W roku 1935 położyliśmy kamień węgielny pod budowę nowego gmachu biblioteki. Otwarcie jej zaplanowano na rok 1940.

— A dalsze jej losy?...

— Kiedy do Łodzi wkroczyli hitlerowcy gmach był już pod dachem. Mnie wywieziono do obozu, zaś w przyszłych pomieszczeniach biblioteki rozpanoszyli się Niemcy zamieniając je na składnice rokonfiskowanych książek. Gdy tylko wróciłem do Łodzi po wojnie natychmiast wszcząłem starania o ukończenie budowy i nie zawiodłem się. Pomoc od władz nowej Polski przyszła natychmiast. Dzięki niej w 1950 roku Łódź otrzymała nowoczesny gmach dla swej biblioteki, drugi w Polsce po „Jagiellonce”.

— Jaki jest obecny stan księgozbioru?

— Biblioteka im. Waryńskiego liczy 130 tys. tomów

i ma 44 filie. Liczą one razem z centralą 430 tys. tomów z których korzysta 600 tys. czytelników. Każda nasza książka 3-krotnie w ciągu roku jest w czytaniu. Filie nastawione są na czytelnika masowego, zawierają więc przeważnie lektury typu beletrystycznego, natomiast Biblioteka im. Waryńskiego rozwija się w kierunku nauk społecznych. Księgozbiór jej dzieli się na 10 zasadniczych działów: ogólny, filozofia, religioznawstwo, nauki społeczne, filologia, nauki przyrodniczo-matematyczne, sztuka stosowana, sztuka czysta, literatura, historia i geografia.

— Z jakich sfer rekrutują się powojenni klienci biblioteki?

— Przede wszystkim są to studenci wyższych uczelni, następnie nauczycielstwo, uczniowie szkół średnich, inteligencja i robotnicy.

— Czy na podstawie swoich doświadczeń zgodził się Pan Dyrektor z opinią o dewaluacji literatury pięknej w codziennym życiu dzisiejszego człowieka?

— Obserwuję wręcz coś przeciwnego: coraz to wzrastająca frekwencja we wszystkich bibliotekach łódzkich. Zmieniła się tylko struktura czytelników. Dziś przeważają studenci i robotnicy w filiach.

— Co czytają robotnicy?

— Beletrystykę klasyczną, ale interesują się też bardzo bestsellerami wykazując przy tym dość dużą w tym zakresie orientację. Gdy tylko w czasopiśmie czy prasie ukazała się recenzja lub najmniejsza wzmianka o ukazujących się na rynku książkach, w naszym księgarskim nowościowym wydawnictwie rozpoczyna się natychmiast run na te pozycje, nie tylko zresztą w bibliotekach ale i w księgarniach.

— Jeśli idzie o najbardziej popularną tematykę wśród dzisiejszych naszych czytelników to zdecydowanie góruje tematyka II wojny światowej.

— A młodzież? Jaka tematyka czytelnictwa interesuje ją najbardziej?

— Młodzież jest zawsze tą samą. Poza lekturą szkolną największym powodzeniem cieszą się... książki „zakazane”. Przed wojną wśród łódzkich pensjonarek największym wzięciem cieszyła się „Sztuka całowania”. Ten filigrany tytuł był tylko pułapką dla niewtajemniczonych. W treści książki ta zawierała wyjątki z najpiękniejszych utworów literatury światowej omawiającej problemy miłości. Nie broniliśmy więc pensjonarek owej książeczki mając przy tej okazji sto pociech, zwłaszcza wtedy, gdy jakieś dziewczę usiłowało wśród poczytywnej „Placówki” czy „Lalki” przesznułować numer owej intrygującej „sztuki”.

— Czy z Biblioteki im. Waryńskiego można wypożyczać książki do domu?

— W zasadzie nie. Wypożyczamy tylko dla pracy twórczej, naukowcom lub instytucjom naukowym. Warto też wspomnieć, że w gmachu mamy bibliotekę podręczną liczącą 2.500 tomów wszystkich nowoczesnych encyklopedii, słowników różnojęzycznych oraz podręczniki ze wszystkich działów.

— Czy rozwój telewizji nie zagraża czytelnictwu?

— Nie przewiduję tego. Każde nowe urządzenie w kulturze nie tylko nie przekreśla starego, ale jeszcze wzbogaca nasze zainteresowania. Tak jest z teatrem, choć swojego czasu wiele się mówiło i pisało o zagrożeniu teatru przez radio. Tak też będzie i z książką. Dobrze postawiony program telewizyjny może tylko sprzyjać atmosferze kulturalnej wśród społeczeństwa, a nie na odwrót.

— I na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Czego należałoby życzyć łódzkiej bibliotekom oraz Panu Dyrektorowi na progu bliskiego już jubileuszu?

— Większej ilości filii i więcej lokali. Także więcej kredytów na zakup książek i na utrzymanie odpowiedniego personelu.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

informacje i zaczepki

W Aleksandrowie znajduje się jeden z piękniejszych domów kultury w naszym województwie. Stary budynek adoptowano (taras, weranda, rzeźbione oświetlenie, umeblowanie) kosztem... około 150 tysięcy złotych. Nie dziwnego, skoro sporą część prac przeprowadzono w czynnie społecznym. Inicjatorem Aleksandrowskiej akcji „kultura” jest kierownik miejscowego klubu międzyzakładowego, p. Bohdan Sadokierski — absolwent Łódzkiej Wyższej Szkoły Teatralnej.

Jesienią przyjeżdża do Łodzi rewelacyjny zespół Marino Mariniego. Jak się dowiedzieliśmy, artyści podpisując umowę z PAGARTEM, zastrzegli sobie, że jednym z miast tournée zespołu po Polsce musi być koniecznie Łódź. Widać artystom podobają się bardzo albo Łódź, albo łódzka wiodnia, albo... łódzanki.

Zespół „Czerwono-Czarnych” (występujący niedawno w Łodzi) gra w stylu zwanym „big-beat” co znaczy „mocne uderzenie”. W obawie, aby owe uderzenia nie stały się zbyt dosłowne, organizatorzy koncertu zaprosili na występ do Hall Sportowej... kilka oddziałów milicji. Do uderzeń nie doszło.

W pewnej łódzkiej pralni ekspresyjny student Muzeum oddawał bieliznę do prania. Zapytany o adres odparł: ulica Lumumby. Żadnego tam Lumumby — rzekła opryskliwie pracownica, — my zawsze piszemy — Bystrzycka. No cóż, nawet pracownikom pralni przydałoby się troszkę taktu i kultury.

Na bardzo dobry pomysł wpadło Łódzkie Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne urządzając w 10 witrażach swego gmachu małą ekspozycję wykopalisk i sztuki ludowej.

J. W.

ANDRZEJ BRYCHT

BLASK i BRUD

gastromonicej miski

ŁÓDZKI BAEDER GASTRONOMICZNY

Dalszy ciąg
ze str. 1

likami, a jej opiekunowie cucili ją przy pomocy „kołdo” czyli walenia w buzię — osiagając efekt odwrotny do zamierzonego, gdyż bili trochę przymocno. Powtarzam, za każdym razem, gdy byłem w „Casanovie” widziałem podobne sceny, mam na to świadków, więc służę ewentualną „satisfakcją” kierownictwu lokalu. O, właśnie, co na to kierownictwo i personel? Kelnerzy nie interweniują w czasie bójk i jest to zrozumiałe, boją się po prostu, i służnie. Trzeba by plutonu wojska, komandosów, bokserów i dżudoców, żeby utrzymać tę horde pijanych „gigantów” w spokoju.

A więc należałoby go prosto, nie wpuszczając śmietanki „półświatka” na salę. Dobrze sobie! Oto autentyczny, zaobserwowany przeze mnie obrazek: „Łolka-bandytka” ciągnie pijanego „jelenia” do szatni. „Łolka” — powiada — „jestem winna temu panu pięć, dych, musisz mu

oddać, bo inaczej on mnie stać nie wypuści”. Gość, pijany jak biała, wręcza szatniarzowi banknot. Szatniarz mruga do Łolki. Łolka do szatniarza i sprawa załatwiona. Do jutra. Jutro to samo. To samo — również z niektórymi kelnerami. Haracz za tzw. „wjazd”. Łolka ma „wjazd” do „łolki”. Jej przyjaciółki również. I przyjaciół. Znany z czynów chuligańskich i złośliwych S.M., który poczuł do mnie sympatię za kilkuset wódek, odkrył mi prawa, rządzące w „łolce” — tzn. „Casanovie”. Prawa te są dla S.M. zupełnie zrozumiałe: „trzeba żyć, nie?” — powiada. Ale zwykły śmiertelnik jest przerażony: kant na kancie, oszustwa, okupy, stręczycielstwo... Kupisz tu za pół litra zegarek, który przed chwilą „spięto” gościowi przy sąsiednim stoliku — ale również możesz pozbyć się własnego, całkiem za darmo...

Przerywam panu Nowakowi:

„Niech pan nie wylicza rozmaitych smutnych spraw półświatka. Szczegóły nie wniosą tu nic nowego. Jest fakt, że istnieje lokal, który stanowi przystań i gniazdo rozmaitego kalibru przestępców i wywłok. Tolerować tego dłużej nie można. Zbyt mało mamy restauracji, by móc sobie pozwolić na luksus oddawania jednego z

ładniejszych lokali metem społecznym. Odpowiednie władze powinny zrobić z tym problemem porządek. Są dwie rzeczy do zrobienia, gdyby ktoś naiwny się pytał:

1) należy zmienić personel, lub przynajmniej jego część moralnie zepsutą,
2) zabronić wstępu metem społecznym.

Na całym świecie istnieje w lokalach o pewnym poziomie segregacja gości przy

wejściu i wcale nie będzie to naruszeniem zasad demokratycznych, jeśli nie wpuści się na salę brudasa, łobuza, pijaka, prostytutkę, złodzieja, Łódzki półświatek nie jest wielki — te kilkadziesiąt osób, które okupują „Casanove” należy wykurzyć, gdzie pieprz rośnie, bo przynoszą wstyd naszemu miastu wobec przyjezdnych.

A oto przykład, jak należy bronić lokali przed niepożądanym elementem: „Tivoli”.

Restauracja ta, zwłaszcza w okresie letnim, jest lokalnym wyjątkowo uprzywilejowanym: posiada rozległy ogródek. Nie było jak — to magnes dla gości. Jednakże dość rzadko zdarzają się awantury, przy wejściu siedzi nieprzekupny i czujny cerber, który potrafi odróżnić awanturników od spokojnych obywateli.

Kierownikiem lokalu jest pan Zdzisław Olechnowicz. Interesy i opinia zakładu leżą mu bardzo na sercu. Narzeka na konsumentów niewyrobionych, niekulturalnych, którzy zwłaszcza w okresie letnim przybywają do „Tivoli”. (Przy wejściu do ogródka nie obowiązują stroje wieczorowe, więc przychodzi dużo „koszulowo-kraciastej” młodzieży, która często czuje się w ogródku jak w lesie, zapominając, że jest to przecież publiczny lokal i kategoria). W porze zimowej odwiedzają lokal goście wyrobieni towarzysko.

„Dystrybucja nawala” mówi pan Olechnowicz. „Brak warzyw, chcieliśmy także wprowadzić do jadłospisu kurczaki, ale stoi nam na przeszkodzie zupełnie absurd: otóż wolno nam płać za kilogram kurczaków 26 zł, podczas, gdy punkty skupu płać hodowcom po 35 zł za kilogram. Jasne, że nikt nam nie chce kurczaków sprzedawać”.

„Szkoda” wzdycham „nie ma to, jak świeżo upieczo-

ny, chrupący kurczak, spożywany w ogrodzie, pod drzewem, przy dźwiękach dobrej orkiestry Czajkowskiego...”.

„Goście czasami są nie-możliwi” skarży się pan Olechnowicz „nie płać rachunków, uciekają przez plot. Niekiedy kelner, wiedziony intuicją, jedzie tak-sówką na własny koszt do „Casanovy” i tam odnajduje gościa, który uciekł mu, nie płać. Albo taki fakt: gość wychodzi, czymś obladowany, ubranie mu brzęczy — dosłownie: brzęczy. Portier jest bystry — zatrzymuje gościa, wzywa milicję, bo już wie, co gość wynosi. I oto milicja wyciąga z kieszeni konsumenta 18 (osiemnaście) szklanek, talerzyków, angielski! Pewien nowożeniec, na drugi dzień po ślubie przyszedł do nas „kupić” zastawę stołową na cztery osoby. Zabrał cały komplet — ale nie doniósł do domu. Wolę nie wspominać, gdzie spędził miodowy miesiąc...”.

Tu wtrąca pan Nowak: „Tivoli” wprowadziła pierwsza w Łodzi obiady 10-cio zlotowe. Bardzo to sobie chwala stali konsumenci tych obiadów, do których i ja odtań będę się zaliczał...”.

„Zastanawiam się” rzekłem do pana Nowaka, gdyśmy wyszli z „Tivoli” — „czy czasem porządek w tym sympatycznym lokalu nie jest w dużym stopniu zasługą pana Czesława Glińskiego, jednego z najpopularniejszych kelnerów. Pan Gliński bowiem — zwany przez przyjaciół „szafa” — jest byłym zapaśnikiem, obdarzonym dziś jeszcze niepospolitą „krzepą”.

„Tak, tak” potwierdza pan Nowak „Czesław Gliński był wicemistrzem Polski w wadze półciężkiej, mistrzem CRZZ w ciężkiej, zdobył również mistrzostwo wszechwag w ogólnopolskim turnieju. Był wielokrotnym reprezentantem Polski w la-

tach 1945—1954, ma na swym koncie wiele wygranych walk z tuzami europejskiego zapaśnictwa...”.

„Czy można się wobec tego dziwić, że nie ma „korka”, który by chciał w „Tivoli” rozbić?”.

„Jasne, że nie!” potwierdza Nowak. „Gliński uspokaja łagodną perswazją znaną do „wesolego” gościa, a wtedy pan Ludwik Horodyński u-czy go dobrych manier. Bowiem p. Horodyński jest starym asem kelnerskim, podawał w „Folies Bergeres”, obsługiwał księża i hrabiów, a także samego króla rumuńskiego. Nieskazitelną biel rękawiczek, platynowe sztućce, puchary, te rzeczy... Hej, iza się kręci...”.

„Chodźmy wobec tego na kawę, panie Nowak. Powspominamy dawne czasy, a przy okazji obejrzymy sobie współczesne kawiarnie...”.

ANDRZEJ BRYCHT

Chcielibyśmy bardzo sprowokować kierownictwo „Casanovy” do zabrania głosu. Sądymy bowiem, że sytuacja lokalu jest bardziej skomplikowana niż by to wynikało z wypowiedzi A. Brychta i pana Nowaka. Pytamy wprost: a może „Casanova” nie wykona planu finansowego, jeżeli realizuje postulaty A. Brychta i dostanie porządnie w skórkę od władz wyższych? Może w naszej gastronomii, a zwłaszcza w nocnych lokalach, wciąż jeszcze utrzymuje się sprzeczność: z jednej strony sprawy moralno-obyczajowe, z drugiej — plan finansowy. Prosimy nie tylko kierownictwo „Casanovy”, ale wszystkich zainteresowanych o zabranie głosu.

REDAKCJA

EKRA- NIK

Reżyser Kozincew pracuje nad ekranizacją szekspirowskiego „Hamleta”. Film będzie szerokokrańowy, czarno-biały. Autorem muzyki jest znany kompozytor radziecki Dymitr Szostakowicz. W roli tytułowej prawdopodobnie wystąpi ostatnio bardzo popularny aktor radziecki, Smoktunowski, którego niedługo ujrzymy w filmie reż. Romby „Dziewięć dni jednego roku” — nagrodzonym na Festiwalu w Karlovyh Varach Wielką Nagrodą.

Po drugiej serii „Iwana Groźnego” Eisensteina wejdzie na ekrany radzieckie, kolejny film swego czasu niedopuszczony do wyświetlania w kinach. Jest film zrealizowany przed dziesięciu laty komedia satyryczna reż. Erenberga „Rozbite marzenia”, której ostrze skierowane jest przeciwko biurokratom.

Miesięcznik „Films and Filming” opublikował listę najlepszych filmów, które znalazły się na ekranach Anglii w ostatnim sezonie. Jedno z czołowych miejsc zajmuje film reż. Kawalerowa „Matka Joanna od Aniołów”, wypierdajac film Truffaut „Jules i Jim” i Chejlica „Dama z pieskiem”.

Konwale w francuskich „Cahiers du Cinema” opublikowały oceny 10 filmów, wybranych dorocznym zwycięstwem przez krytyków filmowych i uznanych za najlepsze w 1961 r. Po podliczeniu głosów 27 krytyków biorących udział w tym plebiscycie, najlepszym filmem okazała się „Lola” Jacquesa Demy. Drugie miejsce zajął film reżyserski Jean Lue Goddarda „Kobieta jest kobietą”. Trzecie miejsce podzielił dwaj włoscy reżyserzy Visconti — „Rocco i jego bracia” oraz Antonioni — „Noe”.

Po sukcesie „Dwóch godzin w ZSRR”, który to film z powodzeniem był demonstrowany przez okrągły rok w paryskiej cinemacie, ostatnio zdemontowano tam nowy program, na który składała się radziecki film fabularny „Niebezpieczne zakrety” oraz film dokumentalny o pracy radzieckiej wyprawy wielorybniczej na Antarktydzie.

Twórca „Siódmej pieczęci”, Ingmar Bergman zakończył prace nad scenariuszem nowego filmu. Na razie wiadomo, że w filmie będą dwie duże role kobiece oraz jedna rola główna, która ma grać jedenaścioletni chłopiec. Tymczasowy tytuł filmu brzmi „Opus 28”.

Japońska „Naga wyspa” — świetny film, który bardzo krótko, niestety, gościł na polskich ekranach zajął w Paryżu piętnaste miejsce wśród najbardziej kasowych filmów tegorocznego sezonu. Oglądało go 280 tysięcy widzów. Największy sukces uzyskał film Disneya „101 dalmatyńczyków” zaś najpopularniejszym filmem francuskim okazały się „Złote romanse” hi storyczne.

Na ekrany kin paryskich weszły równocześnie dwa nowe filmy wg scenariuszy, w reżyserii i produkcji Claude Chabrola — „Okno sprytnego” z Jacquesem Charlier w roli głównej oraz „Ofelia” z Alida Valli i Juliette Mayniel. Pierwszy oceniono entuzjastycznie, upatrując w nim „powrót do wielkiego okresu Chabrola”, natomiast drugi film oceniono jako „utwór zdecydowanego warłactwa”.

W prasie filmowej swego czasu pisało o węgierskim filmie „Mecz w piekło” reż. Fábrygo. Ostatnio w „Mostfilmie” rozpoczęto realizację filmu o podobnym temacie. Scenariusz na piśmie na podstawie autentycznego wydarzenia, a kiedy kilkunastu artystów „Dynamo” wygrała mecz z Niemcami. Po wybuchu wojny wszystkie gracie radzieckie zostały rozstrzelane. Reżyserem filmu z tytułu „Chimery” wcielił się w rolę jest Eugeniusz Karielow — autor wyświeślanego filmu „Dym w lesie”.

Kina radzieckie wyświetlały filmy wyprodukowane w 25 krajach. Obok stałej wymiany z krajami socjalistycznymi zwrócił Radziecki kupuje coraz więcej pozycji od producentów zachodnich. W bieżącym roku widzowie radzieccy ujrzą jeszcze: „Zemście” Berdema, „Witaj nam Mr. Marshall” Berliangi, „Młot Kamof” Leisera, „Most” Wielkiego, „Naga wyspa” Shindō, „Wszyscy do domu” Comenego, „Rocco i jego bracia” Viscontiego, „Noe nad Rzykiem” Rosellini, „Dzika noc” Vanciniego, „Bandytów z Grogosia” De Sety. Z filmów francuskich na ekrany radzieckie wejdą: „Lelczka skazana”, Bresona, „Złoto całego świata” Chiara, „Tak duma nie obchodzi” Colpiaga i „Młodzi zmiennicy” Gattiego. Znacznego zwiększenia ulegnie wyprawa na filmowa ze standardu jednego filmu. Przez długi się zakup dwóch filmów Włoch: „Najlepsze lata naszego życia” oraz „Carrie”, Kramera „Kto się wiarę”, westernu Sturgesa „Siedem wspaniałych”, Disneya „Słoneczko królewskie”, komedii muzycznej Donana „Siedem nurek”, „Dziesięć dni jednego roku” w powieści Switta „Półdroże Gullivera” i Twa na „Przy Rody Hucka”.



Fotos z filmu „Karmazynowy pirat”

„Rio Bravo” było „gwóździem” repertuaru lipca. Film zyskał nie tylko dobre recenzje, ale co jest również ważne, podobał się widzom. Owa zgodność ocen publiczności z ocenami krytyków występuje raczej na naszym gruncie bardzo rzadko, toteż niewątpliwie dalsza niejako kontynuacja tego harmonijnego „współistnienia” gustów widzów i recenzentów będą opinie o „KARMAZYNOWYM PIRACIE” reż. Roberta Siodmaka, autora wyświeślanego w ubiegłym roku kryminalno-sensacyjnego filmu „Noc, kiedy przychodzi diabeł”. Rozrywkowy w całym tego słowa znaczeniu „Karmazynowy pirat” ze znanym i sympatycznym Burtem Lancasterem, pobije chyba rekordy frekwencji. Na jego powodzenie składają się przede wszystkim dwa elementy. Z jednej strony jest filmem przygodowym, z korsarzami, pojedynkami, trupami, a z drugiej — i tu główna jego zaleta oraz świeżość — jest także świetną zabawą i kpina na temat schematów filmu przygodowego. Ow element zabawy w film korsarski jest konsekwentnie przeprowadzony przez scenarzystę, reżysera i aktorów. Z zabawy w korsarzy autorzy „Karma-

zynowego pirata” umiejętnie potrafili przejść w groteskę. Kapitalna pod tym względem jest sekwencja „trzech ludzi z łodzią” (!) czy też „zmechanizowane” powstanie zbrojne. Błyskawiczne tempo, dobre zdjęcia barwne sprawiają, że film ten jest idealny do oglądania w urlopowe dni sierpnia.

Niestety, nie można tego samego napisać pod adre-

czaj samego reżysera. A może przyczyną powolnego tempa i chłodu jaki wieje z milosnych perypetii wymienionej pary był fakt, realizowania plenerów „Złodzieja w hotelu” na Rivierze, i bliskość pałacu księcia Monaco? Nie bez kozery mogą się nasuwać takie refleksje, jeżeli weźmie się pod uwagę, że „Złodziej w hotelu” jest jak do tej pory ostat-

„La Strady” — Juliette Masine i Richarda Basenharta. Publikowano wywiady, wiele pisano na temat rangi artystycznej powstającego filmu. I oto po trzech latach mamy ów film możność oglądać. „JONS I ERDME” według opowiadania niemieckiego pisarza Hermanna Sudermann (1857—1928) jest adaptacją filmowa dzieł wieloletniego z kolei utworu tego pisarza. Tragiczne losy tytułowej bohaterki zainteresowały ponoć Juliette Masine, która stała się inspiratorką dokonania adaptacji filmowej. Pod względem formalnym w „Jons i Erdme” łatwo dostrzec można ograny schemat trójkąta. Narracja prowadzona jest w zbyt wolnym tempie. W rezultacie oglądamy rozwlekły dramat psychologiczny, mimo niewątpliwych wartości humanistycznych, mało przekonujący współczesnego widza. Kreacja aktorska Masine nie stanowi w tym filmie czołowego waloru.

O wiele większym niepowodzeniem zakończyły się wysiłki czeskosłowackiego reżysera Pawła Blumenfelda, autora filmu kryminalno-sensacyjnego „TERESA PROWADZI ŚLEDZTWO”. Scenariusz tego filmu jest niestety na poziomie może trochę wyższym niż amator-

ski. Razi cały szereg naiwnych sytuacji, jego intryga jest chyba, nie intrygująca. Na nie najlepszym poziomie stoi reżyseria filmu — bardzo szampańska i powolna. Szkoda że taki słaby film trafił na ekrany w okresie letnim, kiedy widzowie zdolni są oglądać przede wszystkim filmy rozrywkowe, a jeżeli już kryminalne to dobrze zrobione. Tym niezbyt optymistycznym stwierdzeniem wypada zakończyć przegląd bieżących premier filmowych, z których „KARMAZYNOWY PIRAT” jest czołowym filmowym przebojem sezonu letniego w całym tego słowa znaczeniu. Przyjemnej zabawy!

A. NIEŚMIAŁEK

Co nas czeka?

„ZŁODZIEJA W HOTELU” — filmu reżyserowanego przez klasyka filmowych kryminałów — Alfreda Hitchcocka. Tym razem za dużo jest chyba w tym filmie ironii i romansu. Brakuje owego dreszczyku emocji i łamiągłówni kryminalnej, tak zawsze świetnych w jego filmach. Wydaje się, że materiał scenariuszowy był zbyt ubogi, co spowodowało, że pewne sekwencje filmu są nudne i przydługie. Dotyczy to szczególnie wątku miłosnego. Za to chyba nie należy winić Cary Granta czy Grace Kelly, co ra-

nim filmem, w którym wystąpiła księżna Monaco — Grace Kelly. Prawdopodobnie jednak te refleksje nie będą chyba przeszkodą w pójściu do kina, wszak nie zawsze można oglądać jak sprytnego złodzieja klejnotów uwodzi wykwintną księżną.

Im bliżej końca tego felietonu, tym gorsze opinie o omawianych filmach. Wiosna 1959 r. prawie cała prasa polska pisała na temat filmu realizowanego w puszczy Kampinowskiej, przez reż. Victora Vicasa, a granego przez parę bohaterów

MIESZANKA
FILMOWA

odgłosy



LEON KRUCZKOWSKI

1900—1962

„Kultura polska — mówi komunikat — poniosła niepowetowaną stratę”. Nie wierzymy komunikatom. Straty literatury mierzą się ilością książek, spadających w zapomnienie, ilością słów, odchodzących w niepamięć. Książki Leona Kruczkowskiego pozostały żywe, dotykające najważniejszych problemów człowieka epoki.

Terminował — jak prawie wszyscy chyba prozaicy polscy naszego czasu — u Żeromskiego. I Żeromskiemu, mimo, że zmieniała się epoka i zmieniał się styl, pozostał wierny. Choć polemizował z nim, choć wydany w roku 1932, a więc u początków działalności twórczej „Kordian i Cham” był odpowiedzią, i to odpowiedzią wciąż żywą, bo kształtującą, na równi z „Popiołami”, nasze widzenie epoki. Ale tak samo jak Żeromski pojmował rolę pisarza w społeczeństwie, i tak samo pojmował rolę słowa. Miał ono być nie tylko ozdobnikiem i nie tylko pięknym wino służyć; precyzyjne i wierne glebie, z

której wyrastało, dociekle i wybiegające w przyszłość, a przecież przypisane epoce, było narzędziem intelektu i orężem walki. Kruczkowski szukał odpowiedzi na pytania pierwsze, na pytania, które stają przed każdym człowiekiem wieku. Czym jest historia i kto ją tworzy? I czym jest wolność i na ile można być wolnym w epoce, która widziała baraki i dymy obózów koncentracyjnych. Pytania, jak powiedzieliśmy, stawały przed każdym. Ale nie każdemu pisarzowi dana jest siła, wystarczająca na udźwignięcie ich ciężaru. Kruczkowski — podobnie jak Albert Camus, jak Sartre, jak Hemingway — podjął ciężar odpowiedzi. Nie dziwnego, że „Niemeów” — sztukę, analizującą jeden z centralnych problemów epoki; problem odpowiedzialności jednostki za bieg historii — oglądały sceny wszystkich prawie stolic Europy, nie dziwnego, że „Pierwszy dzień wolności” porównywany był z „Uwięzionymi z Altony”. Odpowiedź nie była jednoznacz-

na, bo jednoznaczna być nie mogła. Ale była to odpowiedź potwierdzona doświadczeniem i życiem pisarza, zaangażowanego w socjalizm. Twórczość Kruczkowskiego, pisarza jakże wysoko ceniącego słowo (pisał niewiele, ale każda z jego powieści i sztuk była wydarzeniem) i jakże odpowiedzialnego, była pochwałą odpowiedzialności, pochwałą świadomego wyboru, pochwałą człowieka, który potrafił wybierać i przyjąć odpowiedzialność.

Jego książki wiele lat temu znalazły się w programach szkolnych. Nie często zdarza się to za życia pisarza. I wolno nam chyba sądzić, że w programach tych pozostaną; będzie się z nich uczyło praw życia i historii. Niejedno jeszcze pokolenie. Leon Kruczkowski był bowiem nie tylko pisarzem. Był także wychowawcą. A to znaczy: działaczem, człowiekiem, wierzącym w to, że słowo może zmienić świat. Powiedzmy inaczej: był pisarzem, ponieważ był człowiekiem walczącym. Był człowiekiem walczącym, ponieważ był pisarzem.

Dalszy ciąg ze str. 1

MHD przy ul. Piotrkowskiej 101, gonili klienta, który nie zapłacił za sardynki. Rekord długości pobli chyba Tadeusz Ratajski, kierownik „samu” MHD przy ul. Piotrkowskiej 93, który gonili chłopca, uciekającego z winem, ulicami Struga, Kościuszki, Mickiewicza, aby go wreszcie chwycić przy Głównej. Wtedy chłopiec oznajmił, że wino kupił w owocarni. W tej owocarni wcale takiego wina nie było, więc zapomniał, gdzie je kupił.

Nie tylko pogonię za nieuczciwymi klientami urozmaica pracę kierownikom i sprzedawczyńom „samów”. Kierowniczka „samu” PSS nr 455 przy ul. Róży Łuksemburg jeszcze dzisiaj ma sińce na rękach od czasu, kiedy musiała stoczyć bój z pewną klientką o dostęp do telefonu. Klientka owa nie chciała zapłacić za towar wartości ponad stu złotych, który włożyła do własnej torby zamiast do sklepowego koszyka. Twierdziła, że kupiła go w innym sklepie, ale na wszelki wypadek usiłowała nie dopuścić do wezwania milicji.

Kierownik „samu” MHD przy ul. Struga 3 zażądał od klientki zapłaty za miód, który włożyła do swojej torby. Klientka oburzyła się. Przecież miód kupiła w innym sklepie! Poparł ją natychmiast inni klienci, którzy starali się przekonać kierownika, że w wielu sklepach można kupić miód. Kierownik spróbował udowodnić swej racji rzekoma numeracją słoików z miodem, co sprawiło, że klientka przyznała się do winy.

WYTRZESZCZAJ OCZY!

Przykłady kradzieży i towarzyszących im denerwujących okoliczności można

przytaczać bez końca. W niektórych „samach” kradzieże zdarzają się prawie codziennie. Nie dziwny jest zatem sprzedawczyńom, że patrzą na nas podejrzliwie. Zawiodły się już nawet na takim dowodzie uczciwości jak eleganckie futro (w „samie” przy ul. Piotrkowskiej 93, kobieta w eleganckim futrze nie zapłaciła za trzy mendele jaj), a każdy zawód zmniejsza ich zarobki. Poremantowe niedobory muszą przecież wyrównywać własnymi pieniędzmi. Poza tym, jeżeli niedobory, nie przekraczające nawet 3 tys. zł (co nie wymaga jeszcze interwencji prokuratora), po-

nieuczciwego podwyższenia zarobków mogą więc być dość silne. Wymaga je może i to, że kierownicy spłacają połowę manka, a druga połowa jest dzielona na pozostały personel sklepu.

SAMOOBRONA

Nerwowość pracy w „samie” wzmagają ciągłe przypominanie klientom o obowiązku posługiwania się koszyczkiem. — Chcę tylko papiererek papieru i już mam brać koszyczek? — takie pytania słyszą sprzedawczyńe często. Często się też denerwują z ich powodu. To prawda, że niektórzy klienci nie-

wójnych drzwi, brak barierki, zapewniającej ruch jednokierunkowy — wszystko to przysparza masę kłopotów sprzedawcom nie tylko liliptuch „samów”.

W takich warunkach niektórzy kierownicy stosują różne metody samoobrony przed skutkami tłoku w „samie”. Zastawiają np. resztkami kontuarów co bardziej „łakome” towary, jak papierosy czy słodycze i sprzedają je starą metodą — z ręki do ręki. Bywa i tak, że sprzedawczyńe w godzinach szczytowego nasilenia sprzedaży wpuszczają do „samu” tylko pewną liczbę klientów i zamykają drzwi,

wodu jakiegoś błędnego ruchu ręki może popaść w podejrzenie. Podejrzanie to może urość do rozmiarów oskarżenia, jeżeli klient porzucił wtedy w swojej torbie towar zakupiony w innym sklepie. A potem sprzeczka — czasem milicja, słowem — cała masa nieprzyjemności.

Oddziaływanie wychowawcze jest także bardzo uciążliwe dla sprzedawczyń, a szczególnie dla kierowniczek „samów”. Obserwacja klientów nie sprawia im przyjemności, a pogonię za złodziejami, zeznania przed milicją i rozprawy sądowe zabierają ponadto kierowni-

mi, znajdując się z reguły w bardziej ruchliwych punktach, pracując w nich z reguły najlepszymi kierownicami, a sortyment towarów jest w nich z reguły szerszy niż w sklepach tradycyjnych i wreszcie, już nie z reguły, jest ich mniej niż sklepów tradycyjnych — PSS ma ogółem 529 sklepów spożywczych, z których tylko 109 jest samoobsługowych. W takiej sytuacji wiwatowanie na czesć „samów” przypomina wiwatowanie na czesć boksera wagi ciężkiej, który znokautował boksera wagi lekkiej.

„Samy” miały uprzyjemnić i udogodnić klientom kupno. Uprzejmiano? Nie zawsze. Udogodniły? Nie zawsze. Rzeczywiście towary w „samach” są doskonale widoczne i można je dokładnie obejrzeć przed kupnem, ale i w sklepach tradycyjnych nikt nie kupuje z zamkniętymi oczyma. Rzeczywiście nieco sprawniej przebiega w „samach” proces kupna, ale kolejkę bynajmniej nie zniknęły. W „samie” pracującą powiedzmy czterech sprzedawczyń, ale tylko jedna inkasuje, więc kolejkę tworzą się przed kasą. Rzeczywiście wzrosła estetyka opakowań, ale czyż nie powinna wzrosnąć bez względu na istnienie lub nieistnienie „samów”?

Reasumując trzeba stwierdzić, że „samy” przynoszą korzyści owszem, uczciwym klientom, ale i złodziejaszkom, którym ułatwiają kradzieże.

Bezpośredni dostęp do towaru może wzbudzać pokusy nie tylko w etatowych złodziejaskach, ale także w ludziach o małym sercu, co nie może być godne pochwały z pedagogicznego punktu widzenia. Ilość kradzieży w „samach” wzrasta. Uczciwi ludzie są podejrzewani o złodziejskie ciagoty. Milicja i sądom przybywa spraw, chociaż i przed istnieniem „samów” nie narzekali na bezrobocie. Nie sądzę, że trzeba SAMY zamykać, trzeba raczej ostrożnie je otwierać i myśleć nad formami ich pracy.

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

Wytrzeszczajmy oczy!

wtrząsają kilka razy z rzędu, to zwierzchnicy tracą zaufanie do załogi sklepu.

Zwierzchnicy są bowiem przekonani, że klienci nie mogą ukraść w „samie” zbyt dużo. To „zbyt dużo” nie ma niestety jakiejś określonej granicy liczbowej, skłania się raczej ku twierdzeniu, że klienci nie ukradną w „samie” nic, jeżeli sprzedawcy będą szeroko otwierali oczy. Najważniejsze są zatem oczy sprzedawców, chociaż ważne są i nogi, bo przecież złodzieja trzeba niekiedy gonić. Podstawa są jednak oczy. Wszak złodzieja trzeba najpierw zobaczyć, żeby go schwytać.

Wytrzeszczają więc bledne sprzedawczyńe oczy, ale cóż mają począć, kiedy sklep jest przepełniony klientami? Każda para oczu musi wtedy obserwować kilkanaście osób jednocześnie! — Zeza można dostać — skarżyła się jedna ze sprzedawczyń.

A jakież gigantyczne wysiłki spada na oczy kierownika „samu”? Bywa tak, że obserwuje on nie tylko klientów, ale także sprzedawczyńe. Młodsza sprzedawczyńa zarabia co najwyżej 900 zł. Jej pokusy do

grzecznie reagują na brak zaufania do ich własnych toreb i kieszeni. To prawda, że sprzedawczyńe też mają tylko takie nerwy, jakie im bozia dała, ale prawda i to, że nie wszystkie są tak uprzejme, jak powinny być.

Prawdą jest też, że nie wszystkie pracują w odpowiednich warunkach. Pośpiech, z jakim otwierano „samu” (no bo ktoś tam otrzypywał za nie premie), sprawił, że spora liczba „samów” mieści się w zbyt małych lokalach. Pracownicy takiego „samu”-liliputa przeżywają makabryczne godziny, kiedy liliput wypełni się kupującymi po brzegi. Nawet wytrzeszczanie oczu nie ułatwia wtedy obserwacji tej ruchliwej bryły kupujących, która ponadto obywatelnie sprzedawczyńie, przynajmniej je do półek i ścian. Uśmiechają się wtedy, człowieku, słodko i bądź uprzejmy!

Błędy spowodowane owym spodem do otwierania „samów” nie ograniczają się do małych pomieszczeń. Wiele sklepów przygotowało niewłaściwie do sprzedaży samoobsługowej. Złe pomysły półki, brak pod-

a pozostali klienci czekają na ulicy. Podobnie, ale znacznie przyjemniej dla klientów, sprzedaje się w „samie” MHD nr 241 przy ul. Wł. Bytomskiej, gdzie między stoiskami wchodzi tylko czterech klientów, pozostali czekają jednak nie na ulicy, lecz w tej części sklepu, gdzie nie ma stoisk. Te ostatnie metody można jeszcze przyjąć, jeżeli już za wszelką cenę mamy pozostać przy sprzedaży samoobsługowej, ale ta z ciekawości na ulicy nie powinna być stosowana zbyt długo.

EFEKTY WYCHOWAWCZE

Oddziaływanie wychowawcze „samów” przynosi, moim zdaniem, efekty godne pożałowania. Gotowość sprzedawczyń do „wychowywania” każdego klienta, jaki zjawi się w „samie”, tzn. podejrzewanie go o złodziejskie zamiary, jest szczególnie denerwująca dla klientów, którzy już są „wychowywani”, tzn. ani myślą kraść. Tylko ten uczciwy klient, który ma skórę nosorożca, czuje się dobrze w „samie”, gdzie każde jego poruszenie jest obserwowane, a z po-

kom wiele czasu i wy-czerpują ich nerwowo. Odwiedziłem 20 „samów”. Czterech kierowniczek zastałem w szczytowym stadium wyczerpania nerwowego. Od wielu lat byli kierownicami sklepów i nigdy nie mieli manka. W „samach” doczekali się już drugiego lub trzeciego z kolei manka, sięgającego trzech tysięcy złotych i gnębi ich niepewność, co też przyniesie następne manko. Rezygnują oni z pracy w „samach”. Trzej inni kierownicy zdecydowanie chwali „samu”, ale trzynastu pozostałych wypowiedziało się zdecydowanie przeciwko „samom”.

CZYJA KORZYŚĆ?

W 1961 r. obroty w sklepach spożywczych PSS wynosiły na jednego pracownika: w „samach” — 68.716 zł, w sklepach tradycyjnych — ok. 58 tys. zł. Wynikałoby z tego, że „samu” biją sklepy tradycyjne na głowę, gdyby nie to, o czym nie mówią zwolennicy „samów”, uzasadniający swoje stanowisko powyższymi cyframi. Chodzi mianowicie o to, że „samu” sa z reguły dużymi skłena-

KOMUNIKAT WYDZIAŁU KULTURY

Wydział Kultury PRN m. Łodzi uprzejmie prosi o zamieszczenie w Waszym piśmie następującego komunikatu:

Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi informuje wszystkich zainteresowanych konkursem na książkę o Łodzi, że jury po zapoznaniu się z wszystkimi przysłanymi na konkurs pracami — nie przyznało żadnej z nagród przewidzianych przez organizatorów konkursu.

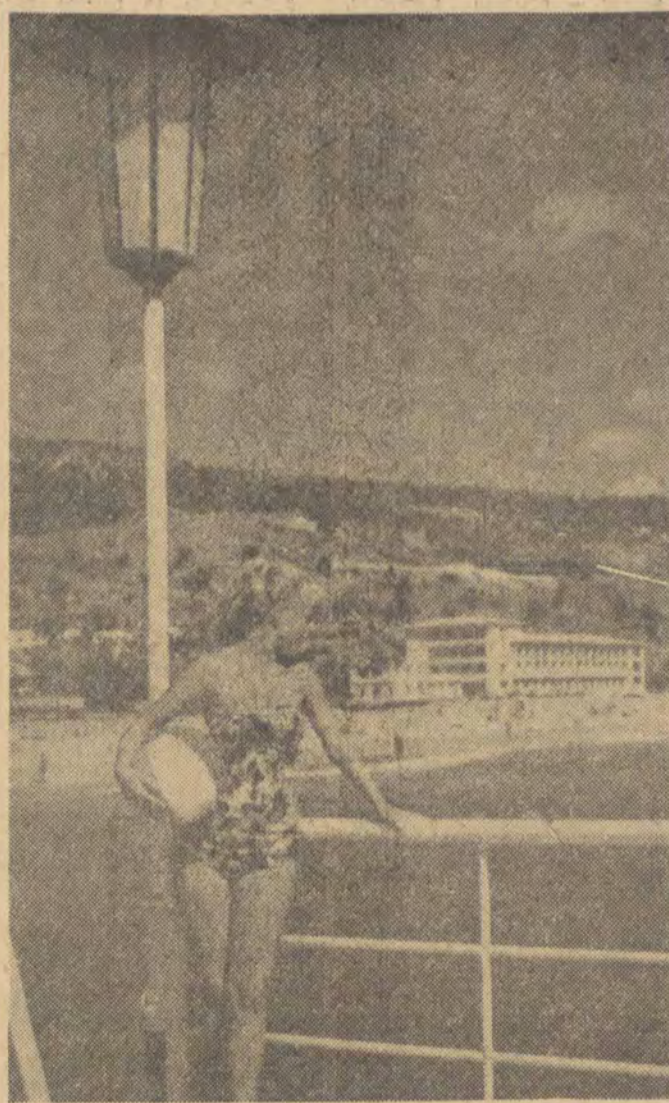
Przyczyną nie przyznania nagród było niedopełnienie przez autorów takich warunków konkursu jak temat czy też objętość pracy, a w innych wypadkach niewystarczający poziom literacki.

Z-ca Kierownika Wydziału (—) Mgr. TADEUSZ TELMA

Drukujemy ten komunikat z mieszanymi uczuciami. Zapewne, jest to jeden z najbardziej sensacyjnych i zarazem smutnych komunikatów, jaki kiedykolwiek za naszej pamięci publikuje Wydział Kultury PRN m. Łodzi. Ogłasza bowiem absolutną klępkę, kompromitującą nasze miasto klępkę. W pierwszej chwili trudno zrozumieć — główna nagroda 40 tys. złotych, pozostałe także duże, a jednak — jak się dowiadujemy — plan konkursu na powieść o Łodzi osiągnął wartość, nazywaną okrągłym zerem. Nie ma wszakże skutków bez przyczyny. Czyżby jedną z nich była cicha zмова

twórców, którzy postanowili pozostawić w kasie miejskiej blisko 100 tys. złotych? Nie sądzimy. A może, po prostu, nasi twórcy nie dorosli do udziału w konkursie? Chyba nie, przecież urzędowało swojego czasu Wydawnictwo Łódzkie konkurs ogólnopolski na powieść i nasi pisarze zdobywali nagrody w dobrej stawce, zdobywali także nagrody miasta.

Wieg? Myślimy, że na błędach można nie tylko poparzyć sobie ręce, ale i czegoś się nauczyć. Konkurs był bardzo tematycznie zawężony, jego niektóre warunki przypominały wyjątki z przemówień politycznych, jeżeli nie notatnik agitatora. Sugestie nie spotykane w konkursach, ogłoszonych przez Radę Narodową innych miast. Np. Kraków rozpisal konkurs na dramat, oczywiście był to konkurs ogólnokrajowy, ale nie stawiał żadnych warunków dodatkowych. Impreza udała się, jeden z łódzkich pisarzy otrzymał II nagrodę. A u nas czytamy, że pisząc o Łodzi uczestnicy konkursu nie pisali na temat, jakby tu chodziło z góry o takie jego ujęcie, jakiego sobie życzyli fundatorzy. Może w tym właśnie fakcie, znaczącym po trosze w samym komunikacie, tkwi przyczyna zupełnie niebywałej klępy? Ilu w końcu pisarzy zdecydować się mogło na udział w tak pomyślanym konkursie? Szkoda, że tego komunikat nie podaje.



WIESŁAW CYNKIER

Przy wsiadaniu do autobusu wybuchła zażarcia dyskusja: brać aparaty czy nie. Ktoś puścił pogłoskę, że w stoczni nie wolno fotografować i rozleniwiona czarnomorskim słońcem międzynarodowa grupa dziennikarzy od razu nabrała wigoru. Polacy namawiali, by aparaty zabrać. Prowadzony w kilku językach spór nabierał rozmachu, czas uciekał i zanosiło się, że nie zdążymy na wodowanie.

Sytuację uratował poeta, to znaczy Piotr Mach — ukraiński dziennikarz, piszący również poezję. Wyskoczył z autobusu i pobiegł do telefonu. Wrócił w chwili, gdy spór sięgał zenitu. Trzasnął drzwiami autobusu i przeczł dyskusję gromkim „pajechali”. Podeszła wtedy uradowany bułgarski kierownik gwałtownie „wrzucił” biegi, Piotr spokojnie relacjonował rozmowę telefoniczną. Wyjaśnił nam, że dyrekcja stoczni liczyła, iż zrobimy kilka zdjęć, ale zrobiło się późno, a jak wiadomo wodowanie musi odbyć się punktualnie.

Kierowca oczywiście robił co mógł, ale kiedy zajechaliśmy przed bramą warneńskiej stoczni im. Georgii Dimitrowa — sytuacja była poważna. Portier nie wiedział jak sobie z nami poradzili, ponieważ wszyscy poszli na wodowanie i nie, miał nas kto wprowadzić, a przepustek nie mieliśmy. Dopiero interwencja bułgarskich kolegów-dziennikarzy pomogła przekonać cerbera i autobus wtoczył się za bramę.

Na pochylnię dojechaliśmy akurat w momencie, kiedy

połężne cielsko „płociotysięcznika” wpadało wśród radośnych okrzyków stocznio- wców do basenu wyposażonego, witane rykiem syren innych jednostek. Kilku z nas zdążyło jeszcze w ostatniej chwili zrobić upragnione zdjęcie bocznego wodowania dużej jednostki.

Dziś, m. in. na naszych oczach wodowano jedenasty z kolei drobnicowiec nośności 5000 DWT, przy czym już po raz trzeci zastosowano trudną sztukę wodowania bocznego (system nowoczesniejszy, bardziej ekonomiczny). Prócz tego oczywiście z innych pochylni wpływają systematycznie mniejsze jednostki pełnomorskie. Plany przewidyują, iż w ramach rozwoju stoczni już w 1970 roku budować się będzie „dziesięciotysięczniki”.

Jak na warunki stoczni warneńskiej — jest to duży postęp, zważywszy, iż jest ona znacznie mniejsza, niż np. Stocznia Gdańska. Na podkreślenie zasługuje przede wszystkim fakt, że warneńscy stocznio- wcy stanowią bardzo młody zespół inżynierów i robotników. Większość starej kadry przeniosła się do Burgas, gdzie obecnie budują statki rybackie: kutry i trawery. Ponadto wszędzie na poszczególnych odcinkach budowy stosuje się nowoczesne metody. Na przykład nigdzie nie widać, a właściwie nie słychać nitowania kadłubów statków — wszędzie króluje metoda spawania. Zrobiło to wrażenie na dziennikarzach niemieckich, którzy szczytą się swoją nowoczesną stoczną w Rostoku, a nawet na polskich dziennikarzach z Gdańska, którym — jeśli idzie o stocznię trudno cymkolwiek zaimponować.

Po obejrzeniu i „obstrzelaniu” z aparatów fotograficznych ciekawszych obiektów, przeniesliśmy się do doków remontowych. Przeprowadziliśmy na drugi brzeg basenu poszła na ogół gładko, nie licząc drobnego incydentu, w wyniku którego czterech kolegów (dwóch Czechów i dwóch Rosjan) zrezygnowało z dalszego zwiedzania i poszło się su-

Płowdiv, Moskwy, Leningradu, Minska, Tadżykistanu, Pragi, Bratysławy, Berlina, Drezna, Rostocku ostrożnie stapa po wąskim tropie. Polacy oczywiście na początku i na końcu. Idziemy zameldować się kapitanowi, ale go nie ma. Zszedł na ląd. A nas wita zaskoczony nieco dyżurny oficer. Padają sakramentalne słowa: „Witamy na polskiej ziemi” (jak wiadomo pokład każdego naszego statku, gdziekolwiek by nie był, pod każdą szerokością geograficzną traktowany jest jak „kawalek Polski”).

Po chwili oficer prowadził nas do messy, gdzie steward otwiera już butelki z piwem. Tradycyjny żeglarski obyczaj każde bowiem podejmować gości na statku „czym chata bogata”. Po piwie zjawia się angielska brandy i papierosy. Goście czują się zażenowani, nie chcą nadużywać gościnności. Sympatyczny oficer, drugi radiotelegrafista, p. Henryk Kowalski, grozi, że będzie zmuszony wydać odpowiednie rozkazy, załozde, bo jak wiadomo on tu decyduje. Wśród wesółych okrzyków i różnorodnych toastów toczy się rozmowa, zadzierzga się nieci serdecznej przyjaźni.

Po jakimś czasie idziemy oglądać statek, pstrykają aparaty fotograficzne. Na mostku kapitańskim nasz gospodarz pokazuje radar i inne nowoczesne urządzenia sterownicze. Opowiada o historii jednostki. MS „Ornak” pływa po oceanach 10 lat. Przed 5 laty kupiliśmy ten duży, nowoczesny zbiornikowiec od Szwecji i od tego czasu pływa pod polską flagą.

Dziennikarze skrzętnie notują, coraz śmielej pytają o różne szczegóły. Pytają, czy można przejść się po statku, porozmawiać swobodnie z załogą. Oczywiście. Dowiadują się, że w tej chwili MS „Ornak” stoi na tzw. rocznym przeglądzie. Każdy statek co 4 lata, przechodzi remont generalny; a co roku remont roczny, zwany przeglądem.

Żałoga pomaga przy pracach remontowych, pracując 8 godzin dziennie. Potem wielu schodzi na ląd i jedzie do Warny, dokąd przyjechały z Polski żony i rodziny marynarzy, dzięki uprzejmości władz bułgarskich. Rodziny członków załogi przebywają tu przeciętnie około miesiąca, płacąc za prywatne mieszkania.

Wizyta na „Ornaku” dobiega końca. Przy trapie ostatnie pożegnania. Koleżanki z Moskwy, Leningradu i Pragi robią sobie wspólne zdjęcia z oficerami z „Ornaku”. Piotr — poeta chce się koniecznie zaokrętować. Zarzucając pyta, czy nie potrzeba chociaż chłopca okrętowego. On się chętnie zgodzi. Podoba mu się — jak powiada — w Polsce.

Kiedy przechodzimy „ęgie” przez trap żegna nas syrena „Ornaku”. Wszyscy są serdecznie wzruszeni gościnnością polskich marynarzy. Zapewniamy, że długo będą pamiętać ten krótki pobyt na polskiej „ziemi” w bułgarskiej stoczni.

List z Warny

PIWO na „ORNAKU”

Później pod opieką młodego inżyniera poszliśmy obejrzeć stocznię.

Warneńska stocznia im. Dimitrowa — największa w Bułgarii — w ostatnich latach przeżywa swój rozkwit. Tuż po wojnie były tu 4 niewielkie, osobne zakłady. W jednym remontowano małe jednostki rybackie, w drugim budowano statki drewniane, głównie dla żeglugi śródlądowej. W dwóch pozostałych warsztatach, które są właściwie załącznikiem dzisiejszej stoczni, budowano jednostki stalowe.

Dziś warneńska stocznia stanowi jednolity zakład, będący symbolem szybkiego rozwoju przemysłowego Bułgarii. Buduje się tu wyłącznie nowe statki oceaniczne, jak zbiornikowce, drobnicowce i rudowłocowce. Do roku 1959 największe statki nie przekraczały 3200 DWT.

szę do autobusu. — Cóż, rezultat nieskoordynowanego wysiadania. A Wasy — młody bułgarski inżynier — ostrzegali: „ostrożnie, druga-ry, ostrożnie”. Reszcie wyszło to jednak na korzyść, ponieważ łódka przestała wykazywać tendencję do zatonięcia i szczęśliwie wyładowaliśmy przy doku remontowym.

Stoi tu zwykle kilka statków rozmaitych bander. M. in. widać radziecki statek pasażerski MS „Ukraina”, kilka zbiornikowców rumuńskich, jeden grecki tankowiec i wreszcie w suchym doku, jednym zresztą w stoczni — tajemniczo niespodzianka: polski zbiornikowiec MS „Ornak” (12 tys. DWT). Nie namyślając się wiele, zapraszamy wszystkich na pokład — do Polski.

22 dziennikarzy: z Sofii.

IGOR SIKIRYCKI

KOLONIE

Od dawna myśl mnie ta nęka.
Pytaniem w uszach dzwoni,
Co zrobią kolonizatorzy
Gdy już nie będzie kolonii.

Gdy uciśnione narody
Laosu i Angoli
Dzięki upartej walce
Zdołają się wyzwolić.

Czy wtedy ultrasowcy
Rasiści i lajdacy
We własnych krajach chętnie
Do ciężkiej pójda pracy.

Kto wtedy będzie żywić
Dobraną tę feralną,
Kto wtedy zaopatrzy
Ich sklepy kolonialne.

A może by te sprawę
Załatwić w dobrym tonie:
Urządzić dla tych panów
Chociażby półkolonie.

Współczesne mapy województwa

Dokończenie ze str. 1

wnieście bełchatowskie zagłębie węglowe! A jaką wnieść mogą dalsze poszukiwania minerałów, ciągle jeszcze niezbyt dokładnie zbadanej, zagadkowej Ziemi Łódzkiej!

Trapią dziś województwo problemy zatrudnienia. Geograficzny środek Polski rejestruje wysoką nadwyżkę rąk do pracy. Nieuprzedmiotowane południe ziemi notuje najwyższe zagęszczenie ludności rolniczej na hektar. Ciągłe niższe niż w innych dziedzinach wytwórczych wynagrodzenie we włókiennictwie, dominującym przecież w okręgu, każe wyrównywać budżety domowe drogą podjęcia pracy przez jeszcze jednego członka rodziny. Ubiega się więc o pracę pokaźna liczba kobiet, nieznających zawodu.

Prawda — w innych rejonach Polski, praca poszukuje ludzi. Czy jednak tak łatwo porzucić rodzinne stro-

ny? Przelewa się więc codziennie wielotysięczna rzesza pracowników poza granice województwa. Rano i wieczorem.

Gospodarze łódzkiej ziemi szukają środków zaradczych: zabiegają o nowe zakłady, intensyfikują produkcję starych. Dostrzegają duże możliwości w zagęszczeniu sieci usług, ciągle niedoskonałej. Z drugiej jednak strony trwają naturalne przecież procesy zastępowania ludzi przez maszyny, w przemyśle i rolnictwie.

Te trudności w jakimś stopniu może złagodzić nowy na naszej ziemi przemysł.

Nowy przemysł. A ludzie? Wydaje się — są zbyt tradycyjni, zbyt wolno przystosowują się do nowych możliwości.

Kilka charakterystycznych przykładów.

Kiedy rozpoczynano budowę cementowni w Działoszynie — ZMS musiał ogłosić ochotniczy zaciąg. Brakowało znających rzemiosło ludzi w okolicy.

Łęczyckie zagłębie do dziś boryka się z trudnościami kadrowymi. Uruchomienie w kwietniu tego roku nowej kopalni poprzedził nabór pracowników w rejonach górniczych. Ile wzięło się z tym kłopotów, choćby takich jak zapewnienie locum!

Posłużmy się wreszcie największym przykładem, z innej nieco dziedziny. W wyniku kaprysów wiosny opóźniono poważnie prace melioracyjne. W pierwszym półroczu wykonano zaledwie 25 procent planowanych zadań. Jeśli uwzględnić fakt powiększenia na ten cel nakładów finansowych — na pozostałą część roku przypada tyle, ile w całym ubiegłym. A prac zaniedbać nie można. Co dają rolnictwu melioracje — lekcją poglądową była właśnie tegoroczna wiosna.

Obliczono więc, że opóźnienia można odrobić, zatrudniając dodatkowo 2.500 ludzi. Rozkrzyżowała się na ten temat prasa, radio, telewizja. Pośpieszył z pomocą Związek Młodzieży Wiejskiej. I co? Chętnych do podjęcia tej pracy, niewymagającej przecież szczególnych umiejętności, jak nie było tak nie ma. Tymczasem urzędy zatrudnienia nadal rejestrują nadwyżki siły roboczej...

Rzec by można — błędne koło...

Czyżby, jeśli nie tradycyjnym, a chyba także stosunkowo małymi wymaganiami w zakresie kwalifikacji zawodowych, jakie przez lata całe stawiał dominujący przemysł włókienniczy — wytłumaczyć te fakty?

Być może — do rozłoczo-

nych przed województwem perspektyw zbyt wolno przystosowuje się również szkoła. Być może — nieproporcjonalnie rośnie ilość szkół zawodowych. Czy jednak mieszkańcy województwa w pełni korzystają i z tych możliwości, które im otworzono?

Ciągle żelaznym przykładem szerokiego korzystania przez załogę z różnorodnych form szkolenia wewnątrzzakładowego są w województwie tylko Pabianickie ZPB. A w innych zakładach? Rok rocznie możliwości podnoszenia kwalifikacji i osiągnięcia jakiegoś stopnia specjalizacji w określonym zawodzie przewyższają liczbę kandydatów.

Paradoksalne, ale możemy znaleźć się w sytuacji, kiedy to dalszy rozwój przemysłu ograniczać będą nasze — nie

obrażamy się za mocne słowa — lenistwo i nieumiejętność. Już dziś, w dopiero co zakończonych zakładowych dyskusjach nad projektami planu postępu technicznego na rok przyszły, górowała obawa, czy aby człowiek nadąży za maszynami (!?).

Mapę województwa pokrywają wciąż nowe koleczka, trójkąty — symbole obiektów przemysłowych. Na mapie kwalifikacji jego mieszkańców korekty następują zbyt wolno. A to zależy przecież tylko od nas...

W. BEK

odgłosy str. 5

Dziewczyna zeskoczyła lekko ze stopni czerwonego autobusu. Przed nią, po drugiej stronie drogi, wznosił się wysoki szary mur z pustaków. Za murem zobaczyła gęstą zieleni, plataninę galezi, liście wysokich krzaków. Nieco dalej, odcinała się od tła niebiańska bryła czerwonego gmachu krytego szklanym dachem.

— To tu — szepnęła do siebie. Szła teraz w kierunku żelaznej bramy, ujętej w solidne obmurowanie. Brama była zamknięta. Spróbowała więc otworzyć żelazną furtkę obok. Ale i furtka była zamknięta. Skrzypnęły drzwi małej budki-stróżówki.

Za furtką stał zakonnik. Nie patrzył na dziewczynę. Ze spuszczonego ku ziemi wzrokiem zapytał:

— Do kogo?

— Do Kowalskiego — odpowiedziała niepewnie.

— Konwiktor? — spytał matowym głosem, nie unosząc wzroku.

— Tak, Wiktor — odpowiedziała nie rozumiejąc pytania. Stary przekreślił klucz w zamku. Zgrzytał klucz. Dziewczyna weszła do ogrodu. Ogarnęła ją nagła cisza, spokój, zieleni. W galeziach drzew śpiewały ptaki. Od gęstwin krzewów płynął miły chłód. Kwiliły kasztany.

— Ładnie tutaj — pomyślała.

— Pójdzie pani prosto, potem skręci na lewo... — powiedział młody. Zamykał furtkę i przestał się dziewczyna interesować.

Na moment ogarnęło ją nieprajymne uczucie. Zatrzaśnięto za nią furtkę. Po chwili przestała już o tym myśleć. Szła kasztanową aleją. Wdychała w płuca zapach kwiatów. Słoneczne jasnym plamami przedzierało się przez liście. Aleja skręcała raptownie i dziewczyna ujrzała teraz gmach. Okna były otwarte, ale ani jeden głos nie dobiegał do jej uszu. Przyspieszyła kroku. Szła teraz betonowym chodnikiem mając gmach z prawej strony. Spojrzała w otwarte okna i zobaczyła mnóstwo wpatrzonych w nią oczu. Chłopcy patrzyli na nią, ale ani jeden nie poruszył wargami.

Czuła te spojrzenia na twarzy, oczach, rękach, nogach, przesiadywały się po jej pierśsiach, plecach i udach. Doszła teraz do wielkich drzwi gmachu. Z trudem, uwieszona niemal całym ciężarem ciała u żelaznej klamki pchnęła drzwi i weszła w mroczny chłód korytarza. Przeszła kilka kroków i znów drzwi. Tym razem nie stawiała specjalnego oporu. Znalazła się nagle jak w akwarium. Wnętrze gmachu było puste. Ogromna hala kryta była szkłem skąd ssało się światło. Wokół tej hali bieleły galerie z których zwisały długie, zielone pędy trzykroć. Światło tu nabierało odcienia seledynu, a zupełnie ciężej potęgowała wrażenie niesamowitości. Gdzieś z boku trzasnęły drzwi i wyszedł jakby prosto ze ściany wysoki zakonnik. Szedł ku niej.

Chłopcy siedzieli w studium. To była pierwsza godzina porannej lekcji. Obowiązywała zupełna cisza. Okna były otwarte i z parku szedł zapach wiośni. Litery w książkach sterczały martwo. Aleksander Wielki. Do diabła z Aleksandrem Wielkim! Stefan siedział tuż przy oknie. Udawał, że się uczy, ale nie mógł się skupić. — Wiosna. Kwitnienie kasztanów. Bliskie wakacje. Ogród drżał od piasego świergotu. Gdzieś opadał brzeźczał uporeczywie pszczoła. W klasie na katedrze siedział Ojciec Metody. Czytał brewiarz. Czarna katedra, czarna sutanna, czarny biret, czarny brewiarz. Za oknem wiosna wybuchała twilaniem jaskrawych barw. Tylko chodnik przed budynkiem konwiktu był szary jak zawsze. Nagle... stało się coś nieoczekiwanego. Na starzej płamie chodnika ukazała się dziewczyna. Młoda, słoneczna, w kolorowej sukience, dziewczyna. Tak rzadko, widywało się tu kobiety. A ta była młoda i ładna, i jaka naturalna. Ani śladu szminki na twarzy. Kropki miała sprzysię, dziewczę-

ce, wiosenne. Trwało to moment. Dziewczyna zniknęła. Stefan nie był pewny czy mu się to wszystko nie przywidziało.

— Wiktor! — szepem powiedział do sąsiada Stefana. — Widziałeś?

— Cicho! — zawołał zakonnik na katedrze. — Cicho! — powtórzył.

Wiktor skinął głową. Miał jakiś dziwny wyraz twarzy. Stefan obserwował go i zauważył, że mu drża lekko wargi. Co to może być? Czyżby jakie wrażenie zrobiła na nim ta przechodząca dziewczyna. Niemożliwe. Wiktor zawsze przechwalał się znajomością kobiet, ba, nie tylko znajomością. Uchodził w klasie za doświadczonego babiarza. Miał laj siedemnaście, ale twierdził, że co najmniej od dwóch lat wie najdokładniej co to jest miłość.

Otworzyły się drzwi. Do Ojca Metodęgo podszedł brat-portier. Mówił niby szepem, ale jego ściszy bas slychać było w całej klasie. — Do Kowalskiego przyjechała siostra. Czy może go zabrać do miasta? Ksiądz Metody zrobił gest ręką, który oznaczał dezaprobatę. Mówił teraz coś cicho do brata-portiera. Stefan posłyszal tylko... dwie słowa... — koniec roku... jeśli ksiądz prefek... jestem przebiegny...

Brat-portier wyszedł. Ojciec Metody popatrzył uważnie surowym wzrokiem na Wiktora



i zabrał się znów do brewiarza. Wiktor jęknął cicho. Stefan go rozumiał. Okropna historia. Przyjechała do kolegi siostra, chce go zabrać na parę godzin do miasta, a tu masz... Z pewnością ksiądz prefekci nie pozwoli. Miał może kwadrans może trochę więcej, gdy znów w drzwiach ukazał się brat-portier.

— Ksiądz prefekci wydał polecenie, żeby Kowalski przyszedł do rozmównicy. Wiktor zerwał się i wybiegł z klasy. Brat-portier wprowadził dziewczynę do rozmównicy i zaraz znikł. Siedziała teraz na pluszowym fotelu. Naprzeciw niej wisiał obraz. Był to portret ascetycznego starca o poważnym i surowym spojrzeniu. Dziewczyna rozejrzała się. Zobaczyła trochę kwiatów, kanapkę, stolik, kilka foteli. Na ścianach wisiały fotografie jakichś księży. Znowu przeniosła wzrok na portret ascety. Patrzył na nią uporeczywie. Wstała i przeszła się po pokoju. Drwan tłumil kroki. Szło się niekiedy jak po zielonej lacie. Znowu spojrzała na obraz. Starzec z obrazu wpatrywał się w nią z uwagą. To było okropne. Gdy odchodziła od obrazu oczy ascety ścigały ją. Gdy zbliżała się: jego wzrok tak samo skierowany był na nią. Patrzył jej prosto w twarz. Surowo i przenikliwie. Podeszła do okna. Stała obrócona tyłem do portretu, ale spojrzenie starca nadal czuła na swoim karku. Posłuchała, że otwierają się drzwi. Wszedł ksiądz. Patrzył na nią przez chwilę spojrzeniem takim samym jak ten starzec na obrazie, choć ten ksiądz nie był starcy. Dziewczyna mimowolnie spojrzała na obraz, potem na księdza. Tamten uśmiechnął się.

— To nasz założyciel zakonu — wskazał ręką portret, poczem wyciągnął rękę na powitanie. — Proszę, niech pani siada — powiedział. Przycupnęła na brzeźku fotela. Ksiądz usiadł naprzeciw niej.

— Pani jest siostrą Kowalskiego?

— Tak.

— Hm. — zapanowało milczenie. Zakonnik patrzył na dziewczynę spojrzeniem z obawą, aż spuściła oczy.

— Widzi pani — zaczął mówić

ksiądz — ostatnio Kowalski, chciałem powiedzieć, pani brat, oberwał dwie dwójce. Jest zdolny, nie mogę zaprzeczyć, ale — przerwał na chwilę — niestety zaniedbuje się w nauce. A poza tym... — urwał.

— Co poza tym? — spytała dziewczyna.

— Widzi pani — zaczął znów jakby niepewnie — gdyby, gdyby... pani była mężczyzną...

Dziewczyna uśmiechnęła się i ksiądz wyraźnie się speszył. — To jest chciałem powiedzieć, gdyby... ta rozmowa była z bratem Wiktor... — ciągnął niepewnie.

Zachęcała go życzliwym uśmiechem.

— Rozumiem — dodała — proszę niech ksiądz mówi. — Starala się domyślić o co temu mężczyźnie w sutannie chodził.

— Po Zielonych Świątach — powiedział — Wiktor przyjechał z dwudniowym opóźnieniem. Miałem w tej sprawie jutro wysłać list do domu Wiktora, no, ale skoro pani...

— A tak — odechylała dziewczyna — Wiktor musiał być dwa dni zostać jeszcze w domu, bo... bo nasza mama czuła się bardzo źle... Ostatnio ciężko choruje, obawiałem się...

— Matka? — spytał nieco zdziwiony ksiądz. — Tak, tak, oczywiście to wszystko tłumaczy, tylko że zdawało mi się...



— Co takiego?

— Ze Wiktor nie ma matki.

I to już od ładnych paru lat.

— No, tak oczywiście — palce dziewczyny zaczęły nerwowo skubać zamek przy czerwonej torebce — to znaczy prawdziwa matka Wiktora nie żyje, ale ja miałam na myśli jego... to jest druga żona naszego ojca. Ożenił się niedawno.

— Tak. Rozumiem — rzekł ksiądz współczująco. — Zatem przez wiele lat pani jako starsza siostra Wiktora, musiała zastępować mu matkę.

— Właśnie — powiedziała dziewczyna patrząc prosto w twarz księdza. Nawet jest dość przystojny, pomyślała, ma ładnie sklepione, wysokie czoło, prosty nos, czerwone usta o zdecydowanym wykreju.



— No więc to co od pani usłyszałem — ciągnął ksiądz — tym bardziej skłania mnie do tego, abym podzielił się z nią naszymi obawami o Wiktora. Chłopiec ma już siedemnaście lat. W tym wieku łatwo o... pani rozumie, wiek kiedy chłopiec staje się mężczyzną, a to stwarza szereg niebezpieczeństw... szereg niebezpieczeństw — powtórzył jakby nie mogąc się zdecydować na powiedzenie najważniejszego. — Pani rozumie... kobiety — wyrzekł wreszcie.

— Rozumiem — poważnie potaknęła dziewczyna. — Tak, proszę księdza, rozumiem.

— My tu robimy wszystko, aby zapobiec stoczeniu się w bagno występku i grzechu nieczystego. Trzeba z bratem porozmawiać o niebezpieczeństwach jakie czyhała na młodzieńca...

Zabrzmiało to bardzo uroczyście, jak na kazaniu.

— No, to byłoby wszystko — oznajmił ksiądz i poderwał się z fotela. — Niech mu pani przemówi do rozsądku. Niedawno miał dwie dwójce, teraz podobno już z nauką trochę lepiej, a najważniejsze to co mówiłem.

Otworzyły się drzwi i wszedł Wiktor.

Był już w ciemnym garniturze. Jaskrawy krawat odcinał się od biele koszuli.

— Wiktorze! Jak się masz bracie?

Wiktor spojrzał uważnie na księdza, podszedł do dziewczyny i nieśmiało pocałował ją w rękę.

— Bardzo sympatyczna masz siostrę — rzekł ksiądz. — Rozmawialiśmy o tobie. Musisz mi solennie przyrzec, że sobie jej przestrogi weźmiesz do serca. Tylko pod tym warunkiem puszczam cię do miasta. Tylko pod tym warunkiem... No, na mnie już czas.

Pożegnał się z dziewczyną i wyszedł.

— Co to wszystko znaczy? O czym rozmawialiście? — spytał Wiktor.

— Nie bracie! Potem ci powiem. Słyszalesz przecież. Masz mnie słuchać. Tylko pod tym warunkiem ksiądz cię puścił do miasta.

Jeszcze raz spojrzała na twarz ascetycznego mnicha na obrazie. Zrobiła do niego oko i wybiegła z rozmównicy. Za nią wyszedł Wiktor.

Wiktor wrócił dopiero nad ranem. Ksiądz prefekciowi powiedział, że nie mógł się zjawić przed zamknięciem bramy. Musiał odprowadzić siostrę na dworzec. Resztę nocy spędził u znajomych, u których zatrzymała się siostra.

Było to już po rozdaniu świadectw. Stefan, Wiktor i ich kolega, Jerzy szli parkiem obok wysokiego szpaleru. Wszyscy trzej wyjeżdżali wieczorem. Mieli teraz czas na swobodną rozmowę. Mówili o wakacyjnych projektach. Wiktor obiecywał sobie szalone sukcesy miłosne. Ale Jerzy nie wytrzymał.

— I po co bujasz?! — powiedział. — Dajmy głowę, że nigdy jeszcze nie miałeś dziewczyny. Więc co traflujesz.

Wiktor aż przystanął z oburzenia.

— Ach tak?! Nie wierzysz? Więc ci powiem. Pamiętasz jak parę tygodni temu przyjechała do mnie siostra?

— Co z tego? Cóż tu ma siostra... — odezwał się z zacieknięciem Jerzy.

— Więc ci powiem — krzyknął Wiktor. — Ja nie mam siostry. Rozumiesz? To była... to była klawa dziewczyna... Cała noc z nią... rozumiesz? Czy mam jeszcze dokładnie powiedzieć? A ty, Jerzy, jesteś gówniarz, co nigdy gołej baby nie widział. Tak!

Dechodźli właśnie do końca szpaleru. Zna niego wyłoniła się nagle postać księdza prefekta. Czytał brewiarz idąc powoli. Gdy przechodził obok chłopców zachował się tak jakby ich w ogóle nie sonstrzegł. Stefan zauważył jednak, że palce zakonnika trzymające kurczowo brewiarz, drża. Wiktor przywarł do żywopłotu.

— Słyszał? — spytał przerażony, gdy ksiądz się oddalił.

— Musiał słyszeć. Darleś się przecież — powiedział Stefan.

— Kiedy masz poćgać? — spytał rzeczowo Jerzy i nie czekając na odpowiedź dodał: — Wiktorze! Musisz natychmiast jechać. Rozumiesz?

— Świadectwo masz w kieszeni, ale licha nie kuś. I na drugi rok nie radzę ci się tu pokazywać.

— Tak myślisz? — spytał przygnębiony Wiktor.

— Tak — potwierdzili Jerzy i Stefan.

— No, dobra — zgodził się przygnębiony Wiktor. — Cześć!

— Cześć!

W chwili potem Wiktor biegł po walizkę.

— Co za balwan — odezwał się Jerzy. — On mówi, że nie ma siostry — dodał ironicznie. — Zeszłego lata poznałem w górach jego siostrę. Milla, ładna dziewczyna.

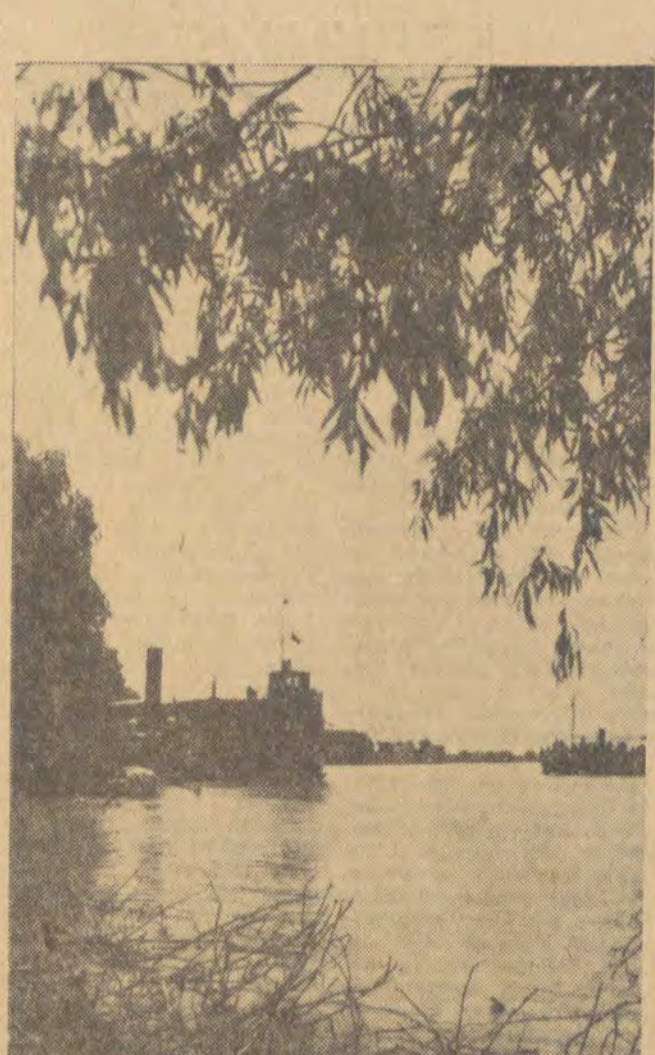
— Czy to ta sama, która odwiedziła Wiktora? — spytał Stefan.

— Nie wiem. Nie widziałem. Jak wiele nie siedzę przy oknie.

— Tamta była blondynka, taka niewysoka, z czerwoną torebką.

Jerzy roześmiał się.

— Czy mało jest małych blondynek, ładnych i u czep-



MARIAN PIECHAL

Wystarczy spojrzeć na mapę Rumunii, aby uanozić sobie, że Dobruża to podobnie jak nasze Pomorze gra rolę bramy morskiej otwartej na szeroki świat. I podobnie jak nasza brama ograniczona jest cieśniną mi dnuńskimi tak rumuńska cieśnina turecka. Tylko w Rumunii Dunaj, stanowiący północną i zachodnią naturalną granicę Dobruży odgrywa niepomniernie większą, bo łącznikową, jeśli chodzi o środek i południe Europy rolę, niż w Polsce Wisła i Odra razem wzięte, aczkolwiek nie można o nich powiedzieć, żeby były rzekami wyłącznie lokalnymi. Wia domo, że korzystają z nich jako dróg wodnych Niemcy, Czesi, Słowacy, Ukraińcy i Białorusini. Niemniej ich znaczenia nie można nawet porównać z dominującym znaczeniem Dunaju.

Już z tego choćby względu Dobruża i ujście Dunaju mają ją szczególnie, a nawet wyjątkowe znaczenie. Zarówno handlowe, jak strategiczne, a także — rzekłbym — cywilizacyjne. I tu po raz nie wiem już który moja — duma człowieka współczesnego doznaje upokorzenia... Mistrz z Sulmony, czarującej miejscowości nieopodal Adriatyku, położonej w dolinie "escary, u stóp wyniosłych szczytów Monte Amaro, błyszczących jaskrawo zimą od śniegów, a latem od nagłych skał, których surowe piękno dyktowało mu pierwsze rytmy „Ars amandi“, mógł sobie słusznie krzywdować, zesłany przez imperatora Augusta nad beznadziejnie płaskie i błotniste brzo gi czarnomorskie w okolicach dzisiejszej Konstancy. Ale nie mógł mu odmówić podziwu za jego zmyślny strategiczno-gospodarczy i za jego w związku z tym praktyczną znajomość geografii.

Bowiem to właśnie miejsce nad morzem miało najbliższe i najdogodniejsze połączenie z Dunajem i dalej przez Multany z górzystą krainą Daków, dzisiejszym Siedmiogrodem. Nie darmo w sto lat potem waleczny i gospodarny Trajan, podbiwszy Dację, zbudował na tej linii, która stanowi najniższą depresję w całej Dobruży, właśnie między Dunajem a portem Tomis czyli dzisiejszej Dobrużą, swe sławne wały obronne, a przed tym nie mniej sławny i pierwszy zapewne w dziejach tej części Europy most na Dunaju i umocnioną groblę poprzez jego nadbrzeżne bagna i śródbrzeżne wyspy i młeliny o łącznej długości blisko 20 kilometrów. Dziś w drodze z Bukaresztu do Konstancy jedzie się koleją po tej właśnie konserwowanej przez wieki starożytnej grobli,

począwszy od Fetesztli jeszcze w Multanach nad lewą odnogą Dunaju, Borcea, aż do Czarnej Wody po drugiej stronie Dunaju, już w Dobruży. Bagna, sapy i mnogie rozlewiska między Borcea i właściwym miastem Dunaju, porosłe kępami olch, wierzb, rokitnic, trzcin, tataraków i słowia, o niezliczonych chmarach pławia wodnego, dają przedsmak delty Dunaju, która jest chyba zjawiskiem jedynym tego rodzaju w Europie.

Jest puszczą lądowo-wodną. Co prawda niezupełnie dzika, ale i nie w pełni jeszcze ucywilizowaną. Jest dziełem wielkolewej pracy Dunaju, który zde rzywszy się z morzem osadza tutaj swe mudy niesione w nurtach z odległych krain, aż spod zachodnioeuropejskich Alp. Kiedys przed prawiekami miejscem dzisiejszej delty Dunaju była wrzynająca się w głąb lądu zatoka morska, do której zlewały połączone swe wody to cześci się z północny Prut i Siret, zaś Dunaj uchodził w morze ową depresją, od południa obwarowaną wałami Trajana. Dzisiejsza słoneczna Mamała to prawdopodobnie sam środek pradawnego ujścia Dunaju, które rego północnym skrajem był dzisiejszy przylądek Midia, a południowym skrajem cypel dzisiejszego portu w Konstancy. Warunki naturalne aż się proszą, żeby na linii właśnie tej depresji zbudować kanał, łączący cy najkrótszą drogą Dunaj z Morzem Czarnym. Dlaczego dotychczas tego nie zrobiono? Przecież droga do morza przez dzisiejszą deltę Dunaju jest co najmniej sześciokrotnie dłuższa w przestrzeni i w czasie, a poza tym wzrastające corocznie zamulenie delty utrudnia żeglę gę zarówno z rzeki do morza, jak i z morza w głąb rzeki. O tym wszystkim wiedzieli starożytni. Wały Trajana były namiastką tego bezpośredniego i najdogodniejszego połączenia drogi wodnej Dunaju z morzem i wskazaniem na przyszłość. Jak dotychczas przebiega tędy tylko rurociąg naftowy z Ploeszti do Konstancy, jednorotorowa linia kolejowa i obok niej wybolsta droga chiłpska taka sama zapewne jak za Trajana.

Czytelnik chyba wymarkował, że jak dotąd nie miałem szczególnych powodów do zachwytu nad urodą Dobruży. Za to nieporównany z niczym egzotyyczny urok delty Dunaju re-



kompensuje całą jednostajną szarość nadmorskiego pejzażu Rumunii. Wyjechaliśmy z Konstancy do odległej o 150 kilometrów Tulczy, owego antycznego Aegyssos greckiego sprzed 2000 lat, rumuńskim rapidem. Jechaliśmy cztery godziny — no więc rumuńskie pojęcie rapidu różnie jest od naszego. Daje to dodatkowe korzyści podróżującemu: ma czas na obserwację krajobrazu i na jego kontemplację. Im bliżej Tulczy, tym teren się podnosi bardziej połaćowany i urzeczony, aż wreszcie pojawiają się wzgórza i doliny, w dolinach strumienie, nad strumieniami łąki, a na wzgórzach winnice, potem dość zwarte i rozległe lasy na zboczach większych pagórków, a w końcu prawdziwe góry. Ale, mój Boże, ich szczyt najwyższy, Tutulatu, u którego podnóża zalamuje się nagle północny bieg Dunaju i zakreca szerokim zakolem na wschód ku morzu, wynosił wszystkiego 456 metrów wysokości n.p.m. Nasza Łysica ma 611 metrów wysokości, jednak góry dostrudzańskie wydają się bardziej wysokie od naszych świętokrzyskich, gdyż oglądamy je z poziomu kilku metrów nad lustrem Dunaju przy jego ujściu, a nie z poziomu ponad 300 metrów, z którego wystają wzniesienia kieleckie.

Tulcza, wielkość naszego Sie radza, to stolica delty Dunaju. Charakter wschodni, widać w smukłych białych dżamiach, widać kołorowe kopulaste cerkwie wśród krętych i ciasnych uliczek na tle zieleni naddunajskich trzcin i błękitu wód samego Dunaju. Sama delta dzieli się na trzy odnogi. Najważniejsza jest ta środkowa, która na-

czą, przystaniana zakrętami rzeki, tylko mignęła raz i drugi w zachodzącym słońcu to białe minarety, to złocona kopuła cerkwi, najdłużej trzymał się jakiś obelisk na wyniosłej górze fortecznej, ale ten znikł wkrótce za zwartą ścianą mrocznej drzew. Powiał chłód, lekka mgła i lekkie obłoczki drobniutkich owadów. Niebawem minęliśmy z prawa odnogę św. Jerzego. Nad obu brzegami naszej Suliny, szerokości najwyższej około połowy kilometra, pojawiały się co jakiś czas zwarte szeregi domków rozmaitych, i prostych glinianek pod strzechą, i drewnianych na kolorowo malowanych, często z kolumnkami i krytych dachówką albo nawet dachówką. A co drugi dom, zwłaszcza strzechy, to bocianie gniazdo, nieraz o metr nad oknem lub drzwiami, bo domki wszystkie małe, z ledwością osiadłe na wysokiej grobli przybrzeżnej. Dalej za nią błota, suchsze miejsca, to pastwiska i kępy drzew, przeważnie ołch, rogoży, no i krzów i krzaków rozmaitych a nieprzeliczonych.

Tuż przed wschodem księżycy gestniała noc i gestniały chmury owadów, które dostojną ulwą spływały po wszystkich szybach sali jadalnej pod pokładem, rwąc się desperacko do niechybnej śmierci w pobliżu rozgrzanych żarówek i lamp u sufitu. Ich żalosne reguła zagłuszały czasem głośniejsze od nich chóry żab. Nie, takich całonocnych i różnotonowych koncertów żab nigdy w Polsce, a nawet w Macedonii, nie słyszałem, jak w Mamaj, a potem w delcie Dunaju.

W kabinach duszno i gorąco

o dziwo — pelikana. A już prawdziwie to imperium motyli, wążek, chrząszczów i różnobarwnych owadów. Co za muzyka, co za rozgwar tego żywiołu w rozplamionej słońcem pogodzie, w rozbiyskanej ciekłym złotem wodzie, w gąszczu zle-

te osiedla ludzkie. W najbliższej przyszłości zniknie stęp wodny w delcie Dunaju z całą jego naturalną krąsą, żywiołem rybnym, ptasim i owadzi. To też uczeni z całego świata zjeżdżają tutaj pośpiesznie, aby jeszcze po raz ostatni rzucić



Port w Tulczy

NOTATKI Z PODRÓŻY

W delcie Dunaju

żywa się Sulina i wiedzie wprost na wschód od morza. Nad jej prawym pagórkowatym brzegiem leży właśnie Tulcza. Północna bardzo kręta odnoga Dunaju zaczyna się kilka kilometrów przed Tulczą i nazywa się Kilia, stanowiąc naturalną linię graniczną Rumunii ze Związkiem Radzieckim. Południowa jeszcze bardziej kręta niż Kilia odnoga Dunaju oddziela się od Suliny o kilka kilometrów za Tulczą i nosi nazwę św. Jerzego. Obie te odnogi poza Sulina to dzikie anarchy nie płynące rozlewiska, zamula ne corocznie przez główny nurt Dunaju, osadzający tu, jak wyliczyli uczeni, ponad 80 milionów metrów sześciennych ilu. W samym ujściu rzeki przypływ wodny od strony morza podrywa te zwalę ilu i powodują zjawisko jedyne w delcie Dunaju: pływające wolno wyspy zieleni powiązane ze sobą korzeniami i pączkami jak w gęstej sieci, zatrzymujące w sobie nowe napływy mulastych i gliniastych ilów.

Czy wobec tego Tulcza jest portem? Jest, bo główne koryto Dunaju, Sulina, którego brzo gi są zabezpieczone umocnionymi wałami, jest starannie oczyszczane i nieustannie pogłębiane, co umożliwia przepływ po niej pełnomorskich statków aż do właściwego portu morskiego Rumunii, Gałacza, który leży o sto kilometrów powyżej Tulczy między ujściami Seretu i Prutu do Dunaju. Przy pominięciu więc jakby nasz Szczecin też oddalony znacznie od morza, tylko, że mniej więcej trzy razy od niego mniejszy. Zna Tulcza to raczej port rybacki, pasażerski, a zwłaszcza turystyczny.

Nie wiele czasu było na oglądanie tej Tulczy, bo już duży statek o nazwie „Tudor Vladimirescu” (to ich bohater z roku 1848, ktoś w rodzaju naszego Walerego Wróblewskiego) na mniejsze stateczki, aby popłynąć w boczne odnogi delty. Nam wypadła bardzo kręta i urozmaicona trasa na północ, do Jeziora Matca w połowie drogi między Sulina a Kilia, zaczął się prawdziwy labirynt wodny wśród trzcin i wiklin, królestwo piaków wodnych i niewodnych, mocarstwo gołębi, jastrzębi, sokółów i orłów, krążących nad polatującymi niżej dzikimi labedziami, gęsiami, żurawiami, czaplami, mewami, nurkującymi kaczkami rozmaitej barwy i wielkości, kurkami wodnymi, perkozami, a nawet widziałem flamingi i —

nie do wytrzymania, spać nie można, niektórzy biorą koce i sadowią się owinięci w nie, pod gołym niebem na pokładzie. Po północy wszedł księżyc i zaczarował całą tę wodną dziedzinę delty w krainę sennego dziwo. Nasz statek zatrzymał się na nocleg u przybrzeżnej miejscowości Oriszca, około 50 kilometrów od Tulczy a 20 od ujścia do morza. I, o dziwo, w mglistym blasku księżycy komary w gęstych obłokach innych owadów, mszyc, ciem i muszek stały się mniej dokuczliwe, a przed świtem wraz z innymi owadami znikły gdzieś zupełnie. I rytmiczne chóry żab umilkły. Natomiast rozległy się najpierw solowe, a potem gromadne koncerty budzącego się ptactwa. Klekotanie bocianów i porykiwanie bydlę, beczenie owiec i kóz, szczekanie psów, a wreszcie głosy ludzkie, płask wiośel o wodę, terkoty motorówek, syreny statków. Wszczynął się ruch na Sulinie.

Rzeka wylaniała się o wschodzie słońca z różowych oparów, potem iskrzyła się złociście, potem błękitniała, opalizując srebrzystą mżawką. Koce tych, którzy spali na pokładzie, były mokre od rosy.

Po śniadaniu zeszliśmy z naszego „Tudora Vladimirescu” (to ich bohater z roku 1848, ktoś w rodzaju naszego Walerego Wróblewskiego) na mniejsze stateczki, aby popłynąć w boczne odnogi delty. Nam wypadła bardzo kręta i urozmaicona trasa na północ, do Jeziora Matca w połowie drogi między Sulina a Kilia, zaczął się prawdziwy labirynt wodny wśród trzcin i wiklin, królestwo piaków wodnych i niewodnych, mocarstwo gołębi, jastrzębi, sokółów i orłów, krążących nad polatującymi niżej dzikimi labedziami, gęsiami, żurawiami, czaplami, mewami, nurkującymi kaczkami rozmaitej barwy i wielkości, kurkami wodnymi, perkozami, a nawet widziałem flamingi i —

lonych wysp, w rozkwitłych wszelakim zieleni i kolorami kwiatów chaszczach i roztopiskach bagiennych. Od czasu do czasu ukazywały się z nagle w zatokach krętych kanałów oka błękitnej wody pokryte otwartymi mi pucharami białych z żółtym dnem nenufarów i lilii wodnych.

Oglądaliśmy w ciągu kilku godzin tylko drobny fragment tej olbrzymiej i jedynej w Europie puszczy wodnej, gdyż cały obszar delty Dunaju liczy 4.600 kilometrów kwadratowych. Jakiż z niej, poza turystyką, pożytek? Prócz nieprzeliczonej ilości ptactwa, prócz flamingów i pelikanów, które tu przylatują znad Nilu, prócz ilłów, wydr, kun, szczurów wodnych i norek — żyją tu, na tym żyznym pograniczu wód rzecznych i morskich, nieprzeliczone ilości różnych gatunków ryb: szczupaki, sumy, karpie, sandacze, lipienie, pstragi, a przede wszystkim jesiotry. Jesiotry do 1.800 kilogramów wagi.

Mysimy jedli wszystkie te ryby wieczór, rano i w południe przez całą dobę pobytu w tej nieprawdopodobnej krainie zawieszonych między błękitem nieba i wody.

Ale poza tym to zgodnie z zasadniczą tendencją naszego wieku powstaje w delcie Dunaju gigantyczny przemysł. Największy w Rumunii kombinat przetworów celulozy. Okazuje się, że trzcina, zwykła trzcina wodna, zawiera jej kilkakrotnie więcej, niż najprzedniejsze drzewo. Racjonalnie teraz hoduje się tę trzcinę w ostępach wodnych delty. Zwozi się parowymi ciągnikami wodnymi do punktów zbiorczych. Widzieliśmy takie punkty i o mało nie wyrzucił nasz statek taka przepływająca obok nas barka załadowana na wysokość kilku pięter trzcina. Wbiła się teraz w muliste dno delty słupy betonowe niczym w Wenecji i buduje na nich te, błonnikowe kombinaty, a w ich okolicy ca-

okiem na ten zanikający macecznik pierwotnej przyrody. W dzieliliśmy taką grupę uczonych ornitologów z Anglii. Ale nas skrzydła ciekawości poniosły znów w inną stronę.

MARIAN PIECHAŁ



W delcie Dunaju

JERZY WILMAŃSKI

Z KRONIKI WYPADKÓW

Oto on
ten który wymyślił łuk
ten sam który ustokrotnił cięciwę
aby stała się harfą

Oto on
twórca prochu i streptomycyny
leży
pod sierpniowym pożarem miasta
z głową rozbitym zderzakiem
ciężarowej cywilizacji

Nie wie
że nie ma granicy jego trwanie
że będzie szedł
nawet w rozprutym bucie pełnym krwi
że wymyśli jeszcze nie jedną harfę
i nie jeden łuk

SANATORIUM

Doktorowi Jerzemu Rożnieckiemu

Leżą naprzeciw siebie
szczyty gór
szczyty płuc

Jesień na szyby kładzie
rentgenowską kliszę wieczoru

Potem
świat zdmuchuje bańki lamp
dzwoni kluczami święty Piotr
ordynator ziemskiego sanatorium.



Wieczory są niecierpliwie
i niespełnione gasną

Umykają poci w aureoli lata
na strych zrzecznych skojarzeń

Pora ponoć sposobna
Krajobraz — noc — kołysanie

Burza szyje niebo
igielką piorunu
skrzyplą wieńce bobkowe

Ta burza jest fałszywa
Ten liść jest fałszywy
a pora —
nikt nie wie.



turystyczna POLSKA B

WOJCIECH RAFAŁ

Dobrze się stało, że tygodnik o charakterze społeczno-literackim „Odgłosy” artykułem redaktora Uchmana, zapoczątkował szeroką dyskusję w sprawach turystyki łódzkiej. Być może, pomoże ona rozwiązać wiele problemów turystycznych a także wytyczyć drogi jej rozwoju.

Łódź nigdy nie odgrywała nawet podrzędnej roli w turystyce polskiej ze względu na brak jakichś zdecydowanych walorów turystycznych jak zbiorniki wodne, kompleksy leśne, góry czy choćby zabytki historyczne. Pojęcie turystyki ograniczało się zazwyczaj do wycieczek oraz wyjazdów na letniska, dopiero w ostatnich latach doszedł nowy element, a mianowicie — wypoczynek świąteczny i masowy ruch turystyczny na „zieloną trawkę”. Duże skupiska ludności w miastach o nienajlepszym mikroklimacie, oraz szkodliwa dla zdrowia praca



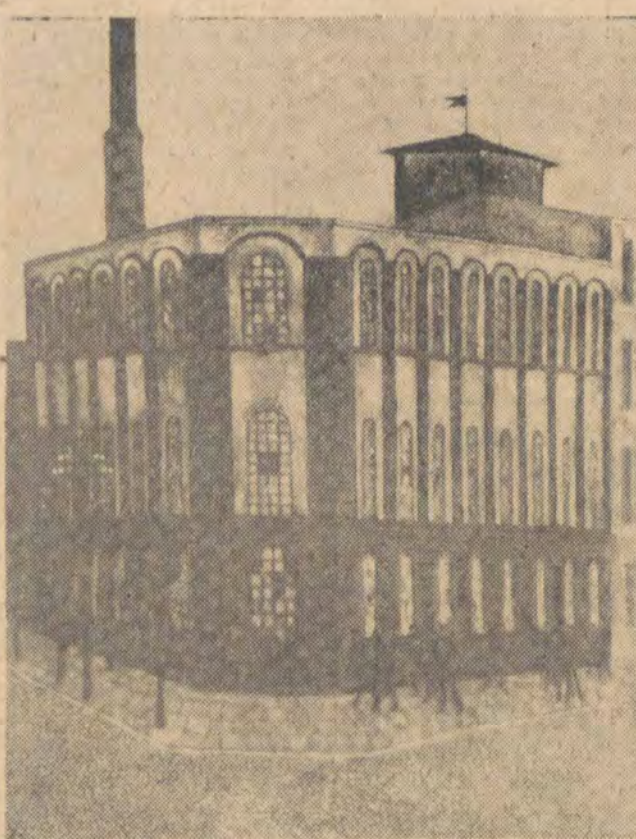
w przemyśle włókienniczym, a przecież tak dominuje w naszym mieście i województwie, zmuszają do troski o rozwój tej najbardziej masowej turystyki typu wypoczynku świątecznego, który umożliwia ludziom pewną regenerację sił i zdrowia. Obecnie wielkość tego ruchu przewyższa w znacznym stopniu wielkość ruchu wycieczkowego. Przyjmując na podstawie danych szacunkowych, że w każdą pogodną niedzielę lata wyjeżdża z Łodzi ca 200 tys. ludzi, to rocznie ta forma turystyki obejmuje kilka milionów osób. Objęcie tego ruchu turystycznego jakimś prawidłowymi formami organizacyjnymi pozwoli Łodzi w niedalekiej przyszłości stać się potentatem turystycznym w Polsce i w tym właśnie kryje się problem Nr 1 turystyki łódzkiej.

W Łodzi działa 5 agencji turystycznych, które główny swój wysiłek kierują na organizację wycieczek dalekich z pełnym wachlarzem usług. Organizacja wycieczki jedno lub półtoradniowej w okolicy Łodzi jest w sezonie letnim zupełnie niemożliwa, gdyż agencjom turystycznym nie opłaca się przyjmować takich zleceń, ponieważ są one nastawione na uzyskanie jak największych obrotów, a obroty to wycieczki dalekie. Niechęć do organizacji wycieczek bliskich jest podyktowana również brakiem bazy turystycznej, która zapewniałaby odpowiedni

poziom obsługiwany wycieczkom. Zakłady pracy, instytucje, związki zawodowe, organizacje społeczne i młodzieżowe, które są dziś głównymi organizatorami wyjazdów „na zieloną trawkę” w zasadzie nie są organizatorami turystyki, lecz klientami i tak musimy ich wreszcie traktować, gdyż w innym wypadku trudno będzie mówić o jakimś poziomie tych wycieczek i godziwym wypoczynku świątecznym.

Mała turystyka — wypoczynek świąteczny jest najbardziej popularny jako turystyka indywidualna i coraz częściej ludzie korzystają z wyjazdów na „zieloną trawkę” w wąskich zespołach ludzi zaprzyjaźnionych bądź też rodziny. Co zastaje taki turysta indywidualny w terenie o tym mówić nie będę, gdyż wszyscy chyba to wiemy i jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Kto sobie namiotu i wyżywienia sam nie skombinuje, nie ma co wyjeżdżać. Czy tak być powinno? Chyba nie. Aby turystyka Polska B stała się turystyką Polską A trzeba nareszcie zdecydować się na powołanie w Łodzi przedsiębiorstwa usług turystycznych dla Łodzi i województwa, które zajęłoby się w pierwszym rzędzie stworzeniem szerokiej bazy turystycznej, oraz świadczeniem usług dla turystyki i wypoczynku świątecznego. Łódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki czyni pewne wstępne kroki przy stworzeniu takiej placówki, lecz tylko na terenie miasta Łodzi. Jest to zupełnie niewypał, gdyż będzie to jednostka o bardzo zawężonym polu działania w żadnym wypadku nie rozwiązująca problemu łódzkiej turystyki. Konieczność jak najszybszego powołania jednostki w skali województwa uwarunkowana jest tym, że wiele zakładów pracy i instytucji buduje bazę turystyczną, ale robi to bez jakiegokolwiek skoordynowanego programu, każdy sobie rękę skrobie, a to pochłania niepotrzebne sumy, a wcale nie rozwija prawidłowej bazy turystycznej naszego regionu.

Redaktor Uchman w swoim artykule kilkakrotnie zwraca się do specjalistów w dziedzinie turystyki z pewnymi uwagami czy wyzwaniami lecz... i tu kryje się problem nr 2 łódzkiej turystyki. Gdzie szukać tych specjalistów? Turystyka w Polsce była i jest uważana za pewien objaw życia społecznego, które nie wymaga



Z wystawy „Ziemia łódzka w plastyce” Leszek Różga — STARY ZGIERZ.

BERNARD KEPLER

MALARZE bez GALERII



Z wystawy „Ziemia łódzka w plastyce” Jerzy Krawczyk — KAPELA

dział dynamicznych galezi usług, stała się złożonym i specyficznym problemem ekonomicznym. Prawdę tę odkryły już dość dawno niektóre kraje zachodnie, a tak

wypoczynku świątecznego — powinna być w pierwszym rzędzie sprowadzona na pierwszy plan ekonomiczną i rozpatrywać zasadnicze trzy problemy współczesnej tury-

Łódź uchodzi — może i nie bez racji — za jeden z czołowych ośrodków kulturalnych w naszym kraju. Nie mam zamiaru kwestionować tego stwierdzenia, ale niektóre istniejące (lub raczej nie istniejące) w naszym mieście obiekty kulturalne zdają się świadczyć raczej o czymś przeciwnym. Jest w Łodzi około 30 kin, jest kilka teatrów dramatycznych i muzycznych, filharmonia, parę różnych muzeów, jest także własne wydawnictwo, rozgłośnia radiowa i ośrodek telewizyjny. Nie ma jednak przyzwoitej sali wystawowej, która odpowiadałaby potrzebom miasta. W każdym razie warunkom tym w żadnym wypadku nie odpowiada skromny pawilonik Ośrodka Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza, będący, o ironio, jedynym obiektem wystawowym przesyłającym do Łodzi tylko 15 zagranicznych. Były to głównie wystawy małych form, o kameralnym charakterze, przeważnie graficzne, jak na przykład wystawy grafiki: chińskiej, czeskiej, bułgarskiej czy wystawa amerykańskiej fotografii. Analogicznie wygląda sprawa z wystawami ogólnopolskimi, które nie docierają do Łodzi tylko dlatego, że nie ma ich gdzie eksponować. Nie można na przykład zrealizować zgłoszeń dwu największych w kraju ośrodków artystycznych: warszawskiego i krakowskiego, które chętnie przysyłałyby swoje doroczne okęgowe wystawy plastyczne w zamian za taką ekspozycję Łódzkiego Okręgu ZPAP. Prawie rok trwał w Warszawie cykl wystaw „Polskie dzieło plastyczne w XV-lecie PRL”, z których część eksponowano także w innych miastach. Do Łodzi z tego cyklu sprowadzono jedynie wystawę plakatu polskiego, ale wskutek znanych już warunków lokalowych, w galerii rozmieszczono tylko niewiele ponad trzecią część eksponatów — reszta pozostała w magazynach. Związek Plastyków w Łodzi co roku organizuje okęgowe konkursy grafiki artystycznej. W związku z wielkim zainteresowaniem tą imprezą w innych ośrodkach, powstał plan rozszerzenia tego konkursu i stworzenia imprezy o charakterze ogólnopolskim. Sporo się także mówi o zorganizowaniu w Łodzi festiwalu tkanin. Oba te projekty godne są najwyższego uznania i na pewno zasługują na realizację. Dopóty jednak pozostały one w sferze planów, dopóki nie rozwiąże się sprawa przystosowania galerii w parku Sienkiewicza do aktualnych potrzeb i możliwości.

obecnym stanie galerii Biuro Wystaw Artystycznych i Związek Polskich Artystów Plastyków mogą marzyć o sprowadzeniu jakiejś większej wystawy krajowej lub zagranicznej? Nawet najbardziej „zagoszczona” ekspozycja pomieścić może u nas ledwo 70 prac malarskich, kilkadziesiąt grafik i kilka niewielkich rzeźb. To bardzo niewiele.

W ciągu 15 lat działalności Ośrodka Propagandy Sztuki, czynnych tu było około 200 wystaw, z czego tylko 15 zagranicznych. Były to głównie wystawy małych form, o kameralnym charakterze, przeważnie graficzne, jak na przykład wystawy grafiki: chińskiej, czeskiej, bułgarskiej czy wystawa amerykańskiej fotografii. Analogicznie wygląda sprawa z wystawami ogólnopolskimi, które nie docierają do Łodzi tylko dlatego, że nie ma ich gdzie eksponować. Nie można na przykład zrealizować zgłoszeń dwu największych w kraju ośrodków artystycznych: warszawskiego i krakowskiego, które chętnie przysyłałyby swoje doroczne okęgowe wystawy plastyczne w zamian za taką ekspozycję Łódzkiego Okręgu ZPAP. Prawie rok trwał w Warszawie cykl wystaw „Polskie dzieło plastyczne w XV-lecie PRL”, z których część eksponowano także w innych miastach. Do Łodzi z tego cyklu sprowadzono jedynie wystawę plakatu polskiego, ale wskutek znanych już warunków lokalowych, w galerii rozmieszczono tylko niewiele ponad trzecią część eksponatów — reszta pozostała w magazynach. Związek Plastyków w Łodzi co roku organizuje okęgowe konkursy grafiki artystycznej. W związku z wielkim zainteresowaniem tą imprezą w innych ośrodkach, powstał plan rozszerzenia tego konkursu i stworzenia imprezy o charakterze ogólnopolskim. Sporo się także mówi o zorganizowaniu w Łodzi festiwalu tkanin. Oba te projekty godne są najwyższego uznania i na pewno zasługują na realizację. Dopóty jednak pozostały one w sferze planów, dopóki nie rozwiąże się sprawa przystosowania galerii w parku Sienkiewicza do aktualnych potrzeb i możliwości.

Podobnych przykładów dałoby się jeszcze wiele przytoczyć, ale i te są wystarczającym argumentem na to, że rozbudowa galerii jest sprawą równie pilną co konieczną. Żeby działalność Związku Plastyków dawała oczekiwane rezultaty i przyniosła społeczeństwu pożytek, trzeba nam jak najwięcej dobrych i różnorodnych wystaw, to zaś pociąga za sobą konieczność posiadania odpowiednich sal wystawowych. Dopóki ich w Łodzi nie będzie, dopóty wszystkie hasła o upowszechnianiu plastyki będą tylko zwykłymi frazesami.

zasadniczej części są to tylko działacze turystyczni, którzy nie potrzebują posiadać znajomości zagadnień turystyki, to coś w rodzaju hobby, i chyba nikt nie ma prawa

jest to słuszne i celowe. Biuro Obsługi Ruchu Turystycznego PTTK dysponuje zawodowymi kadrami organizatorów turystyki lecz działa jako organizacja społeczna i dlatego nie może stać się głównym koordynatorem i organizatorem bazy usług dla turystyki masowej, gdyż wychodzi to grubo poza zasięg jego możliwości organizacyjnych i finansowych. ORT w swoich założeniach powinno być i chyba jest nastawione na spełnianie roli pomocniczej — propagatorskiej, a że nie ma co propagować na terenie województwa łódzkiego to chyba nie ich winą — redaktorze Uchman.

Niestety, Łódź nie posiada ani specjalistów ani specjalistycznego przedsiębiorstwa zajmującego się nowoczesną turystyką i stąd apel redaktora Uchmana celowy i słuszny stanowi w pewnym sensie niewypał.

na zieloną trawkę

fachowego kierowania, ułtarlo się też jakieś zwyczajowe prawo, że dobrym fachowcem może tu być każdy, kto zlażył ileś tam kilometrów, poznał obiekty historyczne, rezerwy przyrodnicze, a do tego wszystkiego ma pewną smykałkę organizatorską. Nie dostrzegamy u nas, że turystyka zaczyna być jedną z bar-

że Bułgaria, Czechosłowacja, ZSRR, a w naszym rodzimym kraju takie regiony Polski jak Sopoty, Nowy Sącz, Dolina Kłodzka itp., tworząc regionalne przedsiębiorstwa turystyczne, zatrudniające ekonomistów a plany swoje opierające na założeniach ekonomiki turystyki. Turystyka nawet w formie turystyki małej —

styki a mianowicie: transport, bazę żywieniową oraz bazę noclegową. Wszystkie pozostałe elementy turystyczne jak walory przyrodnicze, historyczne, rozrywka sportowa i kulturalna są sprawami ważnymi, ale drugiego kolejności. Łódź posiada niewątpliwie szerokie grono organizatorów wyjazdów turystycznych, lecz w

mieć do nich pretensji za taką właśnie postawę. Czy garstka działaczy skupionych wokół poszczególnych komisji PTTK ma możliwość i odczuwa potrzebę wyjścia z szerszą działalnością turystyczną? Nie, ich zainteresowanie zamyka się w pewnym wąskim wycinku zagadnień turystyki kwalifikowanej i wydaje mi się, że

Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny” przeżyły najgorzej chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wycofała do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjacielom trafiły właśnie na ślub treny. Nie którzy goście weselni, zwiastująca kolega pana młodego Tosiek, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zatelefonował do nich i zaproponował spotkanie w Grandce.

Od tej — nieudanej zresztą randki zaczyna się nowa seria przygód naszych bohaterek. A więc najpierw Geograf namawia Magdę do kontynuowania nauki. Kosiek, syn Geografa, zakochany w Magdzie, zaprasza ją do Domu Kultury na zabawę. Pojawia się na scenie Narcyz. Wesołe Mariola znika na całe dnie z domu i to najbardziej niepokoi Magdę.

Chcę przez to powiedzieć, że ciotka nigdy nie znajdowała się w takiej sytuacji jak ja, nie miała w kieszeni patentu na złodziejkę, a jeśli ktoś chce, to i na coś więcej. Niech pan nie pyta na co. Więc kiedy ciotka powiedziała „nareszcie masz towarzystwo”, krzyknęłam: „Cholerny świat!”. Krzyknęłam nie dlatego, że bym chciała wyrzucić złość na ciotkę, albo na kimkolwiek innym, nawet nie na Kostku, chociaż skrecałam się na niego ze złości, ale zaklęłam tak w ogóle, na życie. Ciotka zawołała: „Magda, nie bluźnij!”. Może pan się domyślić, na czym skończyła się ta rozmowa, porzuciłyśmy się obie, jak głupie.

Rozesłałam tapczany do spania i dopiero wtedy ciotka zastrzeliła mnie nowiną. „Mariola się znalazła” — powiedziała. „Skąd wiesz, ciotciu?”. „Irena dzwoniła. Zaprosiła cię do siebie na jutro”. „Gdzie była Mariola? Co porabiała? Dlaczego nie

przyszła do nas?”. Ciotka rozłożyła ręce. „Jeżeli myślisz, że wiem coś pewnego z gadaniny Ireny, to się mylisz. Krzyknęła w słuchawkę, że Mariola jest u niej, żebyś przyszła jutro po południu i urwała rozmowę. Czysta wariatka, jak wy to mówicie”. Wyobraża pan sobie moje zdumienie?

Nie mogłam się doczekać niedzieli i tego popołudnia. A tu jak na złość rano przyjechali moi starzy. Ciotka zatrzymała ich na obiad. Boże święty, nie wspominałam dotychczas o matce, niech pan nie myśli, że jestem z kamienia. Z ojcem były inne parochunki, ojciec się nie liczył, to znaczy, niech pan mnie zrozumie, ojcu nie byłam nic winna. Tak właśnie rozumiełam, ojciec miał swoje życie, i ja miałam swoje, ojciec dawniej pił, opowiadałam o tym, potem przestał pić, sam się odcucił i o tym mówiłam. Potem, wie pan, przyszły te wszystkie sprawy z Boruta.

Więc ja żyłam z daleka od ojca, ale z matką to inna sprawa. Wystarczy, że sobie przypomnę, jak matka szukała mnie po kawiarniach, albo jak czekała na mnie u Szczura, albo jak się oskarżała w sądzie. Jak sobie to przypomnę, Boże święty, to mi się zbiera na wycie, nie mogę sobie z tym poradzić. Wyłabym całą noc.

Mariola miała podobne uśposobienie, pamięta pan, jak opowiadała o swoim ojcu pijaku? Za życia nie mogła go znościć, a po jego śmierci ryczała, jakby straciła skarb.

Więc pan może pomyśli, że na widok matki zaczęły mi z oczu kapać łzy, i nie mogłam przemówić słowa? Albo że rzuciłam się matce na szyję i tak żeśmy się obejmowały z pół godziny? Nie z tych rzeczy. Proszę pana, gdyby mnie tylko starzy próbowali zahaczyć o co, Boże święty, urządziłabym awanturę na całe Chojny. Potem bym ryczała, ale to inna sprawa. Pan to rozumie? Więc zapytałam tylko: „Jak się żyje, mam?”. „Ano, żyjemy, Magda” — odpowiedziała matka. Ojciec dodał: „Jakoś tam idzie”. Wiedziałam, że jeśli ojciec powiedział, jakoś tam idzie, to znaczy, że idzie nieźle. Gdyby powiedział na przykład, że w porządku, lub coś w tym rodzaju, byłabym niemal pewna, że wcale nie jest tak dobrze, jak mówi. Ojciec, jeśli chodziło o interesy, nazywał wszystko na opak. Trzeba było przyzwyczaić się do jego języka, aby co zrozumieć. „A z tobą jak, Magda?” — zapytał ojciec. „Nie mogę narzekać — powiedziałam — ciotce zwałabym się na głowę”. „Co ty Magda?” — zaprzeczyła ciotka — przehandluje cię od ojców, nareszcie jest w tym domu jakieś życie”. Zaczęła

mnie okropnie wychwalać przed starzymi, jaka to jestem pracowita i tak dalej. Rzeczywiście, ciotka miała nosa z tymi wczorajszymi porządkami, mieszkanie było wysprzątane, w całym domu pachniało jak w lesie, liście już przywędły, więc zapach był jeszcze silniejszy, słowem sielanka — przy jednym stole dobrzy rodzi-

ce, nawrócona grzesznica i ciotka-opiekunka. Brakowało tylko Anioła Stróża, ale jeśli chodzi o moje, to z pewnością spadł gdzieś w przepaść, kiedy mnie przeprowadzał przez niebezpieczne krawędzie, albo Boruta go przetrącił, okazji było dosyć.

Dalszy ciąg na str. 10



He wore beautiful clothes. A lady sat at his side and she was the most beautiful lady in the world. Who were they?...

The King and the Queen.

John looked at them. He said:

— The King has more money than all of the people in the village. He is rich and I am poor. I like the King's



coach and I like his money too. I want to be a king. I hate my work...

John walked in a palace. He was a king. He had a lot of money and a lot of friends. He wore beautiful clothes. Every morning he walked in the palace garden. It was cool there.

A lot of trees grew in the garden and they gave a lot of shade. The sun didn't burn his face. John had a very good life. He said:

— I'm happy now...

John suddenly awoke. John was John again. He was the poor stone-cutter again...

EIN GESPRÄCH

Ein 5-jähriger Junge fragte einmal seine Mutter:

— Mutti, was ist das ein WOLF?

— Ein WOLF, das ist ein wilder Hund.

Der Knabe war mit der Antwort zufrieden. Aber nach einiger Zeit fragte er wieder:

— Mutti, was ist das ein TIGER?

— Ein TIGER, das ist eine wilde Katze.

Der Sohn war wieder mit der Antwort zufrieden. Nach einer Pause sagte er:

— Mutti, jetzt weiß ich, was das eine EISENBAHN ist.

— Das ist sehr schön, mein Junge, — sagte die Mutter,

— also bitte, sage mir, was eine EISENBAHN ist.

Der Junge antwortete:

— Eine EISENBAHN: das ist eine wilde Droschke.



HEALTH EXCELLENT

I was reading the school-report of my son. I became angry and I said:

— English, poor; French weak; mathematics, fair. What does it mean, my dear Andy?

— Well, don't be angry. You are right, it is not as good as it might be. But have you seen that?

— What?

My son pointed to the next line of the school-report. I read:

„Health excellent“.



INTERESSANT

— Haben Sie einen Bruder, Herr Schmidt.

— Ja, Frau Schwarz, ich habe einen Bruder.

— Nur einen Bruder?

— Ja, Frau Schwarz, nur einen Bruder.

— Einen einzigen Bruder nur?

— Ja, Frau Schwarz, nur einen einzigen Bruder.

— Wie ist das möglich? Ich habe ihre Schwester gefragt,

und sie sagt, dass sie zwei Brüder hat. Und Sie sagen,

dass Sie nur einen einzigen haben. Interessant.



RÄTSEL

Du siehst es immer bei Sonnenschein.
Am Mittag ist es kurz und klein.
Es wächst bei Sonnenuntergang
und wird dann wie ein Baum so lang.

(Der Schatten)

AT THE DENTIST'S

Last week I went to the dentist. He is a big man and he has a loud voice. He often laughs, but he frightens me. I went to his waiting-room and I sat down. I sat there for a quarter of an hour, and then I heard his loud voice. He shouted:

— Next! Come in!

I opened his door and I went into his room. He looked at me and he laughed. He said:

— Have you bought a ticket?

— A ticket? No, I haven't. Do I need a ticket?

The dentist said:

— Oh, yes, this is a cinema, and you always need a ticket in a cinema.

I didn't understand him. He laughed again and he said:

— Open your mouth and the cinema will begin because I'm going to take a tooth out. Are you going to bite my finger?

— No!

He laughed again, then he pulled the tooth out...

The dentist went out of the room and he came back with an envelope. He said:

— I'm going to give you a present.

— What is it?

— That nice tooth.

I got out of the chair and I said:

— Thank you, good bye.

Then I went home.

LESTUNGEN

Eine Schwalbe fliegt am schnellsten — siebzig Meter in der Sekunde. Ein Pferd läuft nur 25 Meter in der Sekunde. Der Strauss dreihundertsechzig Meter.

Der „Weltrekord“ im Weisprung gehört dem Känguruh; es springt zehn Meter. Der Löwe nur acht Meter und der Tiger sechs.

„Weltmeister“ im Schwimmen ist Delphin. Er schwimmt in einer Sekunde vierzehn Meter, das sind in der Stunde fünfzig Kilometer, soviel wie ein Ozeandampfer.

Manche Vögel können fünfundzwanzigtausend Kilometer fliegen.



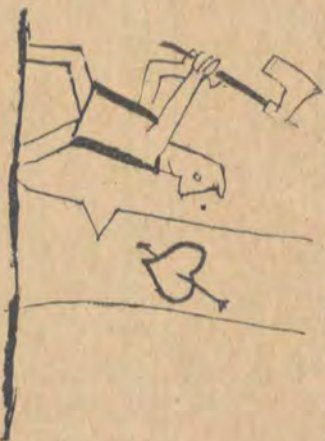
THE POOR STONE-CUTTER

John was a poor farmer. He lived in a small house. It was the poorest in the village. There were a lot of holes in the walls and the wind blew the doors and the windows open. The roof had as many holes as the walls and the rainwater dropped into his bedroom.

John usually wore worn-out clothes. He worked hard from early in the morning till late in the evening.

There was a high rock near his village. John sometimes went up the rock. What did he there?

He cut stones. He carried them to the nearest town and sold them there. But he didn't get much money for them.



One day he was cutting stones on the rock. It was hot. The bright sun shone on John's face.

Look, what was that? What did John see on the road? Was it a dream? No, it was not a dream.

He saw a coach with gold wheels. There was a gold crown on top of it. There was a gentleman in the coach.

ER MUSS LACHEN

George Sand besuchte eines Abends ihre Freundin. Bei der Freundin waren schon andere Gäste. Die Gäste unterhielten sich gut; sie tranken, assen und tanzten viel. Es war ein schöner Ballabend.

Nach einiger Zeit kam zu George Sand ein junger Mann und wollte sich mit ihr etwas unterhalten. Er wusste aber nicht, wie er es anfangen soll. Er lächelte, aber er sagte kein Wort.



George Sand wurde etwas nervös und fragte:

— Warum lachen Sie, junger Mann?

Der junge Mann wusste nicht, was er sagen soll. Er lächelte weiter.

George Sand wiederholte:

— Warum lachen Sie, junger Mann? Antworten Sie.

Der junge Mann antwortete nach einer Pause:

— Sehen Sie, wenn ich etwas Komisches sehe, dann muss ich lachen, dann muss ich immer lachen.

— So, — antwortete, George Sand, — dann können Sie sich nicht einmal selbst rasieren, nicht wahr?

Dalszy ciag ze str. 9

„No dobrze“ — rzekł ojciec i wyciągnął ćwiartkę z kieszeni. To było świetne, jak ojciec wyciągał tę ćwiartkę. Nikt nie potrafił tego zrobić tak jak ojciec. Nie do opisania, trzeba to zobaczyć. „Widzcie, że będziemy mieć prawdziwe święto!“ — ciotka klasnęła w ręce i kazala mi zastawić stół. Oczywiście, nastrój się poprawił, nie na tyle jednak, abym się czuła dobrze. Obawiałam się niepotrzebnych pytań. Na szczęście, starzy mieli trochę oleju w głowie i nie pytali o nic. Nawet o Geografie nie było mowy. Matka tylko powiedziała, że dobił się do mnie Narcyz, ale go przegnała. „Dobrześ zrobiła!“ — krzyknęła ciotka — „Ja go stąd również wyprosiłam.“ „Więc trafił tutaj?“ — w głosie matki znać było niepokój. „Może się mama nie bać — powiedziałam. — Nie mnie z nim nie łączy.“

W ogóle całe to zebranie rodzinne zajeżdżało lipą, zorientowałam się szybko, że było ukartowane z góry i ciotka maczała w tym palce. Jednak trzeba było je odbębnić, chociaż skreślałam się na myśl, że starzy zostają na popołudnie i nie będą mogli jechać do Ireny. Ciotka wyczuła moje zniecierpliwienie i powiedziała: „Magda, ty się przebież, masz przecież jechać do Ireny.“ „A po co?“ — zapytała matka. „Z Mariolą się tam

umówiła“. Śmiać mi się chciało, wszystko wiedziałam, ci starzy byli okropnie naiwni. Obchodzili się ze mną jak z jajkiem, bał się, żebym znowu w świat nie przysnęła. Ale że mnie zostawiają w spokoju. Więc kiedy się żegnałam, ucałowałam matkę a ojcu nadstawiłam policzek. „Powinnaś kiedy zająrzeć do nas, Magda“ — powiedziała matka. „Zajrzyj, zajrzyj“ — odparła za mnie ciotka.

Więc do Ireny jechałam niejako z błogosławieństwem starzych. Ale nie myślałam o nikim, ani o matce, ani o ciotce, ani o ojcu, tylko o Marioli. Och, jak się szykowałam, że ją zwymyślam, zrobiła ze mnie dużego balona. Wreszcie chciałam z nią pogadać, bo i u mnie nazbierało się dużo nowin. Boże święty, żeby pan wiedział, jak byłam przejęta, kiedy naciskałam dzwonek.

Otworzyła mi Irena, poznałam, że była po paru głębszych. „Cóż do diabła, gdzie zajrzesz, tam piją“ — powiedziała do niej. „Ach, Magda, dobrze, że przyszedłaś, jak się cieszył!“ — powiedziała i pocałowała mnie w usta. Jeszcze nie zdążyłam zamknąć drzwi za sobą, a Tosiek już stał przy mnie i całował moje ręce. „Panno Magdo — mówił — jak można tak długo milczeć, pani jest okrutna, pani ma serce z kamienia“. Wyrwałam mu rękę, bo po pierwsze, nie lubię, kiedy mnie ktoś liże po łapach, a po drugie, podciął sobie tę swoją brodkę nieco za krótko, była ostra, jak drucziana szczyotka. Pokuli mnie jak diabli. „Niechże pan da spokój — powiedziałam. — Jeśli kto ma serce z kamienia, to chyba pan, bo pan miał do nas zadzwonić, no nie?“ „Panno Magdo! — rzekł z oburzeniem,

— Co też pani mówi. Dzwoniłem i nie raz, ale nikt nie odbierał telefonu“. „Nie kłócić się — wmieszała się Irena — chodźcie dalej!“. W pokoju zastałam całe towarzystwo, był jeszcze Kazek i Lodek, Grali w brydża. „A gdzie Mariola?“ — zapytałam. „Panno Magdo! — zawołali jednocześnie Kazek z Toskiem. — My się nie liczymy?“. Tosiek znowu przykleił brodkę do mojej ręki. „Ach, Magda, jak ja się za panią stęskniłem“. Tosiek się zgrywał, to było oczywiście, nie trzeba mi dwa razy pokazywać tej samej sztuki. Ale gdybym tylko chciała, inaczej by śpiewał. Mówię panu, Kazek odepchnął Toska i z kolei on się przypiął do mnie, nie mogłam patrzeć spokojnie na jego wykrojony uśmiech. Pan sobie przypomniał, Kazek miał takie usta, jakby się stale śmiał. Mówiłam, ten uśmiech był okropny. Wreszcie podszedł do mnie Lodek i jak zaznaczył, tytułem powinowactwa, niby że ja i Mariola jesteśmy ze sobą więcej niż krewne, a on z kolei przez Irenę z Mariolą, pocałował mnie w usta. Zanosilo się na małą hecę, bo wszyscy byli podpieli i każdy z nich chciał teraz naśladować Lodka.

Więc wyrwałam się im i zapytałam Irenę co z Mariolą. Powiedziała, że owszem, Mariola była u niej, czekała na mnie i pojechała na Chojny. „Niemożliwe! — krzyknęłam. — Miała przecież czekać tutaj na mnie“. „No tak — odparła Irena — ale pojechała“. „Adieu!“ — krzyknęłam i skierowałam się do drzwi. Myśli pan, że mnie puścili? Nie było mowy o tym. Złapali mnie przy drzwiach i na rękach zaniesli do stołu. Irena śmiała się do łez, podpiła była, mówiłam już, Musia-

łam usiąść, natychmiast podsuneli mi kieliszek.

Nie chciałabym jednak przedstawiać sprawy tak, jakobym uległa wyłącznie ich namowom i przemocy! W końcu rozłożyłam się na Mariolę, że nie raczyła na mnie zaczekać. Cóż do diabła, co sobie ta wariatka myśli, znika na całe dnie i noce, a kiedy się umawia, nie dotrzymuje słowa. Więc wzięłam za dobrą monetę przygrywkę Toska i Kazka i zaczęłam odpowiadać im w tym samym tonie, w jakim do mnie zagrywali. Nie trzeba mówić, udawało mi się to w jeszcze lepszym stopniu, niż nawet wczoraj na zabawie z Kostkiem. Przede wszystkim nie potrzebowałam się hamować w języku, sami mnie do tego zachęcali. Wypiłam jeden i drugi, w głowie mi trochę zasumiało. Tosiek wziął moją rękę i zaczął nią gładzić swoją brodkę. Ale się wybrał, wariat, chwyciłam go za brodkę i szarpnęłam, aż głową uderzył o stół. Lodek ryczał z uciechy, a Kazek zapytał: „Jak ja teraz mamy nazywać, Miłą Jill, czy Gorzką Jill?“

„Ani gorzką, ani słodką — powiedziałam. — Przestańcie się raz wygłupiać z tymi Jillami, Lolitami i Armidami. Rzygać się chce od tego“. Ale Tosiek objął mnie wpół, przechylił głowę do tyłu i zaczął jeździć brodą po moich ramionach i po szyi. „Przestań ty, wariacie!“ — krzyknęłam, bo już mnie doprowadził do szału. Myśli pan, że kto się ujął za mną, nawet Irena się śmiała, a Kazek i Lodek trzymali moje ręce. „Trudno, przeciwko wszystkim nie poradzisz“ — powiedziała Irena. „Więc co, mam z siebie zrobić szmate!“ — zawołałam. „Pocoś mnie tu zaprosiła!“

Mówię panu, Tosiek dopiero teraz mnie uwolnił, zaczął się śmiać, i tamci się też śmiali. Bardzo nieprzyjemnie się śmiali. Poważnie zanosilo się na to, że zrobię awanturę. Miałam dość tych dwuznaczników i tego śmiechu. Wiedziłam, co o tym wszystkim sądzić. Irena może brała zachowanie się Toska i Kazka za żart, zresztą wódka jej szumiała w głowie. Ale ja nie mogłam traktować pobłażliwie tych błaznów. Moze miałam jednemu i drugiemu wchodzić na kolana i całować ich po kolei? Ceska mi przepowiadała taką karierę. Zobaczysz, mówiła, jak ci przyjmam na wolności. A jakże, w dzwony uderzą, i kwiatami drogę zaściela. Już tam czekają na takie jak ty. Ile razy mi to Ceska mówiła.

Irena jednak się opamiętała. „Masz rację — powiedziała do mnie — ci wariaci wszystko popsują“. Kazek ją poparł: „Słuchaj Tosiek, w karafce została jeszcze wódka. Lepiej ją rozlej“. „Dziękuję, nie będę pila“. — powiedziała stanowczo. „Ze też takie dziewczyny żyją jeszcze na świecie“ — rzekł Tosiek i próbował pogłaskać mnie po dłoni. „Ręce przy sobie“ — odparłam. „Nie — krzyknął Tosiek — coż za stanowcza babka. Więc nie dasz się na nic namówić?“. Widzi pan, jaka świnia z niego wylała. Do tego wszystkiego zaczął mówić do mnie po imieniu, jakby już był po brudziu. „Patrz, Kazek — mówił w dalszym ciągu Tosiek — Magda jest dla nas nielaskawa“. „Dajcie mi pić!“ — wołał Kazek. Wie pan, z zabawy zaczęła się robić zwyczajna pijatyka. Miałam tego dość.





Najstarsza, bo istniejąca od trzynastu lat audycja telewizyjna amerykańskiej jest: „The Ed Sullivan show”. Duszą zespołu, który tworzy ten program rozmaitości jest Ed Sullivan. — konferansjer, reżyser i impresario. Do pomocy ma takich wybitnych aktorów jak: F. Shuster, B. Davin, John Wayne (znany polskiej publiczności z kreacji w „Dyllan-sie”, „Spokojnym człowieku”) i innych. W każdą sobotę w audycji tej pokazywani są najlepsi artyści rewiowi, balety, piosenki. Przeprowadza się nawet wywiady, a czasem występują... bruchomówcy. Sullivan często wyjeżdża za granicę, zapraszając do udziału w programie wybitnych aktorów całego świata. W jego „show” występował już Balet Moisiejewy i nasi rodzimi artyści ze „Śląska”. „The Ed Sullivan show” na-



dawany jest przez kilka stacji: CBS, CBC, BBC itp. Dla każdej z nich Sullivan i jego zespół opracowują inny program. Pracują przeciętnie osiem godzin dziennie nad tekstami, a później odbywają się właściwe próby. Każdy program, tak starannie opracowany może być przykładem dla tego rodzaju audycji rozrywkowych.

Głos w dyskusji „Telewizja a Twoje dziecko” zabrała również znana amerykańska sex-bomba ekranu Jayne Mansfield (na zdjęciu), która w roku 1959 oświadczyła dziennikarzom, że zamierza dać swemu synowi super-nowoczesne wychowanie i dlatego już kilkunastomiesięczne niemowlę przyzwyczają do oglądania programu telewizyjnego, który, według Jayne Mansfield, posiada wiele walorów artystycznych i rozwija w dzieciach zmysł piękna, oraz uczy życia. No, proszę, nawet sex-bomba docenia telewizję...



Rozmowa o programie

Sądę, że ostatnia rozmowa o programie (26. VII) sprawiła dużą satysfakcję wszystkim widzom, zainteresowanym losami i przyszłością Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Rozmowę prowadził, jak zwykle, naczelny redaktor naszego tygodnika, Wiesław Jażdżyński, a telewizję reprezentował Władysław Orłowski, naczelny redaktor LOT.

Pierwsza część rozmowy dotyczyła sprawy bliskiej nam wszystkim — tzw. „ogórków programowych”, których nie brakuje w sezonie letnim, druga zaś jej część — najbliższego planu programowego LOT na sezon jesienno-zimowy.

„Ogórki” telewizyjne, komu dały się szczególnie dotkliwie we znaki, jeżeli nie nam, widzom, pozbawionym przez zły los możliwości korzystania z urlopowego odpoczynku? Dlatego też dobrze się stało, że była o nich mowa: wszak mamy jeszcze przed sobą w perspektywie cały długi miesiąc postu programowego, i LOT mógłby pierwszy uczynić wyłom w tej przykrej, nie wiadomo przez kogo wymuszonej regule. Ano, zobaczymy, czy obietnica red. Orłowskiego zostanie dotrzymana.

Mnie osobiście o wiele ważniejszą wydała się kwestia planowanego programu na jesień. Nie dlatego, że długie i nudne wieczory jesienne, które należy jakoś zapełnić w ostateczności nawet i oglądaniem telewizji, ale ze względu na szansę, jaką otwiera się właśnie w tym czasie dla LOT. Nagle wrota piekła zostały zdobyte i siły centralne przyznały, o dziwo — łódzkiemu ośrodkowi poważnie zwiększoną liczbę godzin udziału w programie ogólnopolskim. Następuje najwyraźniej na szczeblach centralnych odwilż i zmiana frontalnej polityki. Czy na długo? I co się za tym kryje? Kowalski, jak zawsze, szuka dziury w całym, powiecie.

W każdym razie, odkładając małkonienknie zadumy na czas przyszły, trzeba przyznać, że TV-Łódź otrzymała swoją dużą i tak bardzo wyczekiwana szansę. I tak, niedługo już nasz lokalny sygnał będzie częstym gościem na antenie ogólnopolskiej. (Ciekawym, czy ta „odwilż” objęła również fundusze?). Stał okazją dla LOT wypróbowania swoich rzeczywistych możliwości, pokazania ambicji i jednocześnie sprawdzianu tezy: może czy też nie może terenowy ośrodek telewizyjny „robić” pełnowartościowy program? Istnieją czy nie istnieją merytoryczne różnice — pomijam te oczywiste, retoryczne, jak budżet — pomiędzy możliwościami ośrodka warszawskiego a terenowego? Ano, pożyczmy, zobaczymy.

Telewizja-Łódź, obok stałych swoich pozycji, Teatru Popularnego oraz „Muzyki łatwej i przyjemnej”, wejdzie już od września z nowym typem widowiska rozrywkowego. Będzie ono oparte wyłącznie na tekstach i wykonawcach łódzkich. Na pewno więc w jakimś stopniu ta zamierzona audycja rozrywkowa skompensuje słuszną żale i pretensje wielu łódzian pod adresem dyrekcji LOT za jej politykę „importu” oraz reklamy obcych sław piosenkarskich.

Łódź przyłączy się ponadto do audycji publicystycznych. Wszyscy wiemy, jak to jest z tymi audycjami. A raczej — że w TV-Łódź wcale ich nie było. Udana publicystyka młodzieżowa została zarzucona. (Czemu?!). Teraz przed ośrodkiem otworzyła się perspektywa. Z niecierpliwością będziemy więc czekać na pierwszy, zapowiadany na wrzesień, program publicystyczny, emitowany z Łodzi na antenie ogólnopolskiej. Miejmy nadzieję, że do tego czasu uda się naszemu ośrodkowi pobrać z Szkoły Filmowej tej przyzwoitej, stuprocentowej kamery, miejmy również nadzieję, że inne niezbędne atrybuty jak na przykład magnetofon reporterski też uda się pobrać.

LOT nosi się z zamiarem utworzenia Młodzieżowego Teatru Telewizyjnego. Inicjatywa piękna, niezmiennie potrzebna i warta gorącego przyklasku. Jak również — pozostałe sugestie, dotyczące poprowadzenia cyklu audycji telewizyjnych dla szkół.

Ano, pożyczmy, zobaczymy. W każdym razie można już teraz z czystym sumieniem stwierdzić: szansa jest duża, a jej wykorzystanie zależy wyłącznie od LOT.

KOWALSKI

BALETOWE ROZCZAROWANIA

Na „Wieczór baletów polskich” transmitowany z Państwowej Filharmonii i Opery w Gdańsku czekałbym ze zrozumiętym zainteresowaniem — i dlatego, że sam taniec wydaje się być prawdziwie telewizyjny, i dlatego jeszcze, że miał być to niejako rewanż w ramach Interwizji za niezwykle ciekawy program baletowy, jaki przed kilku miesiącami oferowała nam Moskwa. Nadto mieliśmy się zetknąć z czołowym w Polsce ośrodkiem baletowym, z jednym z najbardziej twórczych choreografów, jakim niewątpliwie jest prof. Janina Jarzynówna-Sobczak, wreszcie z muzyką polską, na którą obok „Mandrągory” Karola Szymanowskiego, złożyły się „Mała suita” Lutosławskiego i „Cztery eseje” Bairda.

Rozczarowanie było jednak niemal zupełne. Nie nie zostało głębiej pomyślane, a reżyseria telewizyjna operując najchętniej pełnym planem i prowadząc, znaczną część programu na jedną kamerę, pozwoliła nam co najwyżej wyrobić pojęcie o

zawartości prezentowanego dzieła, aniżeli odebrać pełne wrażenie estetyczne, szczególnie że i z dźwiękiem w odbiorze telewizyjnym nie jest, jak wiadomo, najlepiej. Odnosi się to przede wszystkim do „Mandrągory” i „Małej suity”, a więc do baletów niedużych wprawdzie, niemniej operujących pewnym zespołem wykonawców, których ruch komponowany był oczywiście wszędy sceny, co — jak się wydaje — zupełnie oszpeciło reżysera. Próbował on co prawda iść kilkakrotnie na przelanie, od czasu do czasu stosował zbliżenia, ale i wówczas uparcie trzymał się pełnej sylwetki tancerza, nie wpadając nawet na pomysł, że można również eksponować szczegóły, że można szybki rytm taneczny rekompensować ostrymi cięciami montażowymi, zamiast raczyć nas małymi figurkami w zamazanym oddaleniu.

Być może rzecz nie została po prostu wystarczająco ilość razy próbowana, albo też obecność publicz-

ności na sali i związane z tym ograniczenia w rozstawieniu kamer, wpłynęły na ostateczny kształt transmisji, ale jeżeli już decydujemy się dać program w ramach Interwizji i przesyłać go do znajomego się na tańcu Związku Radzieckiego — trzeba było poświęcić jeszcze dwa dni czasu na próby i jeszcze kilkanaście tysięcy złotych na zakupienie spektaklu wyłącznie dla telewizji.

„Honor domu” uratowały w rezultacie jedynie „Cztery eseje” Bairda, kompozycja szczególnie telewizyjna, przez miniaturową obsadę (duet i trio, jedynie w III obrazie), ledwie zaznaczona scenografią i czarne kostiumy tancerzy, oczywiście znakomicie eksponujące się na małym ekranie. Pomijając rozkosz nie opowiadki o „polskiej szkole baletowej”, wygłaszanej przez gentelmana prowadzącego audycję (kto widział chociażby „Cudownego mandaryna” Bartoka, przyzna, że Jarzynówna, im bliżej

współczesności, tym wyraźniej ciąży w kierunku nieco nużącej manierki, zarażając nią swoją czołową solistkę Alicję Boniuszkę) — była to na pewno bardzo ciekawa, dynamiczna, a przede wszystkim dobrze tańczona kompozycja. Cokolwiek byśmy nie powiedzieli, Alicja Boniuszka jest już w tej chwili tancerką światowej klasy, a jej partnerzy — Zygmunt Jasman i Tadeusz Złamał — nie wiele odbiegali od jej poziomu.

Zarazem tu i tylko tu reżyser telewizyjny zdecydował się na kilka sensownych cięć montażowych, dał szereg wartościowych operatorsko zbliżeń, poprowadził całość konsekwentnie i przejrzyście. Było mu co prawda, z wyżej wyłożonych przyczyn, łatwiej niż przy kompozycjach poprzednich, niemniej zataił nieco złe wrażenie i pozwolił nieco optymistycznie patrzeć w przyszłość tańca na małym ekranie.

J. PANASEWICZ

NASZ WYWIAD ze spikerką ŁOT:

Janiną Czerwińską

Pani Janina Czerwińska, spikerka Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego odwiedziła nas podczas dyżuru w studio. „Apartament” spikerski jest bardzo miły, mieści się w nim telewizor, zwany tutaj monitorem, albo odbiornikiem kontrolnym, dwa krzesła, stolik, a na stoliku mikrofon, telefon, i lusterko. Pokój oświetlają dwie lampy tzw. „szczętaki” oraz jeszcze jakieś inne stwory nazywane fachowo „świetlnymi rybnami”.

Pani Janina kończy właśnie zapowiedź, posyła telewizorowi telewizyjny uśmiech i zaczynamy rozmowę.

— Czym się pani zajmuje w przerwach między zapowiedziami audycji?

— Robię to samo, co wszyscy telewizyści: oglądam program.

— A jak program jest nieciekaw?

— Wtedy uczę się języka

angielskiego, załatwiam osobista korespondencja i wykladam się z technikami. Ale tego niech pan nie pisze, bo ja naprawdę się z nimi kłócę.

— Czy spikerkę traktuje pani jako swój zawód czy to tylko takie niewinne hobby kapryśnej kobiety?

— To jest właściwie mój doraźny zawód. Bo w ogóle, to studiuję anglistykę. Jestem obecnie na III roku.

— Z czym się pani kojarzy spikerowanie?

— Spiker to coś w rodzaju tego żołnierza, który choć nie jest generałem, ale idzie na czele wojskowej parady... bo gra na trąbce.

— W jaki sposób została pani spikerką? Na pewno ma pani tutaj duże „chody”, co?

— Niech pan sobie wyobrazi, że wcale nie mam. Spikerka zaś została na drodze konkursu.

— A jak z konkurencją?

Czy dużo jest w Polsce spikerów telewizyjnych?

— Raczej niewiele, około 20.

— Co pani sądzi o Irene Dziedzic?

— Dla mnie jest to wzór spikera i dziennikarza telewizyjnego. Jestem szczerze zaniepokojona, dlaczego od dłuższego czasu nie oglądamy jej w telewizji.

— A czy telewizyści też się pani podobają?

— Oczywiście. Ale są i tacy, którzy podczas kiepskiej audycji zgłaszają pretensje do spikera.

— Jakże ma pani samopoczucie podczas zapowiedzi programu?

— Czasem jestem odważna, a czasem bywa i tak, że najchętniej weszła bym pod stolik i wiecej się nie pokazała widzom.

Rozmawiał. K. BADZIAK



NAMIĘTNOSC
(humor węgierski)

ODGŁOSY

tygodnia

Trzymamy kciuki

Przy zbiegu ulic Uniwersyteckiej i Narutowicza stanąć ma nowoczesny wysokościowiec (11 kondygnacji) pod nazwą Dom Przemysłu Włókien Sztucznych. Jak z nazwy projektowanego budynku wypika, postawił go Zjednoczenie Przemysłu Włókien Sztucznych, które tutaj będzie miało swoją siedzibę a pod ręką wszel-

kie swoje biura projektowe. Sama zamierzona inwestycja nie byłaby niczym szczególnym (jako, że różne zjednoczenia budują sobie domy), gdyby nie fakt, że projekt postanowiono wyłonić drogą konkursu zamkniętego. W jego szranki zaproszono cztery zespoły: dwa warszawskie (Miastoprojektu Stolica-Wschód — inż. inż.: J. Furman, J. Czyż, J. Szymczyk i W. Panowski oraz Warszawskiego Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego inż. inż. H. Marconi, J. Romański, A. Szejnkowski, L. Szycht i M. Pietraszek), jeden krakowski — Miastoprojektu Kraków — inż. inż.: W. Bryzek, A. Gruchowski, J. Młynarski i jeden łódzki — Miastoprojektu Łódź — inż. inż.: B. Kardaszewski, J. Michalewicz i K. Dowgird.

Na nadmiar konkursów nasi architekci nie mogą się uskarżać, toteż wspomniany konkurs, zorganizowany przez Oddział Łódzki SARP wzbudził w środowisku mimo charakteru zamkniętego zrozumiałe zainteresowanie. Projekty zostały złożone. Leżą sobie w zapieczętowanych pakietach w rosnącej z dnia na dzień temperaturze ciekawości. W najbliższym czasie wysoki sąd konkursowy rozpocznie przewód i wyda wyrok, wybierając do realizacji najlepszy projekt. Trudno i darmo jesteśmy patriotami lokalnymi: byłoby nam miło, gdyby palma pierwszeństwa przypadła łódzianom. Dlatego 17 sierpnia trzymamy za nich kciuki.

Ile zarobił Judasz?

Historia, którą za chwilę opowiemy, jest jak najbardziej autentyczna. W jednym z powiatowych miast naszego województwa pewien katecheta prawil młodzieży o potrzebie umartwiania ciała. Okazja po temu była dobra, trwał właśnie okres Wielkiego Postu. Trzeba tedy myśleć o sprawach duszy, zapomnieć o realnych wymiarach doczesnego życia, zadawać sobie rozmaite pokuty. Katecheta próbował wyprowadzić młodzież, oczywiście w wyobraźni, na pustynie, gdzie dawni święci rozmyślali, zabijali w sobie zwykłego człowieka, żywili się korzonkami i rozmawiali ze zwierzętami.

Nieszczęście chciało, że ów katecheta — zapewne dla odstraszenia — wspominał Judasza, który zaprzedał duszę za 30 srebrników. Efekt był zupełnie niespodziewany. Jeden z słuchających chłopców, wierzący przecie skoro przyszedł na lekcję, zapytał z głupią frant — ile to może być na nasze pieniądze?

Katecheta, zaskoczony początkowo, zaczął gorączkowo liczyć. Wyszło mu jakieś 2-3 tysiące złotych polskich. Licealista zauważył lekceważąco, że za takie pieniądze nawet WFM-ki nie można kupić. Cała historia z Judaszem stała się w jednej chwili przysłowiową baletką dla grzecznych dzieci. Proste, realistyczne pytanie młodzieńca naszych czasów unaocznilo całej młodzieży, że ma do czynienia z mitem. Nikt pytającego nie skareł, ponieważ realna warstwa przypowieści o Judaszu przestała od razu istnieć. Oczywiście, katecheta mógł sprostować oświecenie, podnieść cenę, czy może jakoś inaczej wybrnąć z niewygodnej sytuacji, stracił jednak głowę. Ma ją jednak młodzież na karku. Nawet ta, o której mówi się, że wierzy.

ODGŁOSY

tygodnia

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódź * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zwraca zamawianym kopii, nie zwraca * Prenumerata przyjmująca wszystkie placówki pocztowe, listonosze „Prasa” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 2278, VIII. 62. A-4

Piękne dziewczęta na lamy „ODGŁOSÓW”



Foto: W. Bilinski

Kogo bić w pierwszym rzędzie?

Oczywiście, autora notatki „Suchoty kleszonkowe i lekarstwo” zamieszczonej w 29 numerze „Odgłosów”. Nie za intencją, bo te były najlepsze, ale za niesumienność. Autor tej notatki opisując poczynania pewnej spółki „zarobkowej” nie sprawdził rzeczy do końca i do spółki

zaliczył m. in. (cytujemy) „kierownika magazynu Centrali Surowców Włókienniczych i Skórzanych w Pabianicach Juliana A.”. Otóż, jak się dowiadujemy, pan Julian A. był niewinnie włączony w całą tę aferę i sąd uwolnił go od zarzutów. Główny oskarżony w tej sprawie otrzymał karę długoletniego więzienia — i oprócz niego wyroki skazujące otrzymało 5 osób. Tymczasem nota wymienia p. Juliana A. jako jednego z głównych bohaterów, nazywając go „równym kompanem”.

Drukujemy tę „kontrnotę” nie tylko dlatego, aby dać satysfakcję i przeprosić p. Juliana A. ale i dlatego, aby zwrócić uwagę na szkodliwość tego rodzaju niesumienności, jaką zademonstrował autor „Suchoty kleszonkowych”. I z jaką spotkać się możemy (niestety!) i w życiu.

Wykorzystać tych, których mamy...

Pod tym hasłem łódzka NOT, ma zamiar przeprowadzić ankietę wśród inżynierów z różnych zakładów o różne, specjalności. Autorem pomysłu jest poseł, inżynier i przewodniczący NOT-u J. Jablkiewicz. Według wstępnego rozważania i opinii wyrażanych przez wielu fachowców, inżynierowie połowę swego czasu pracy poświęcają na zajęcia, których wykonywać nie powinni. Inżynier powinien zajmować się wyłącznie organizacją pracy i wprowadzaniem nowej techniki. Wszystko co robi poza tym jest nieproduktywne i mogłoby być wykonywane przez osoby ze średnim, a nawet podstawowym wykształceniem. Sprawozdawczość i prace administracyjne pochłaniają gros czasu, który mógłby być wykorzystany dla produkcji i techniki. Drastycznym tego przykładem jest fakt podany

w „Polityce” z 30 czerwca br. W Raciborskim „Rafamencie” produkującym obrabarki poszukiwane w całym świecie (przepraszamy za rym) w dziale głównego technologa pracuje 3 konstruktorów mających zajmować się tylko postępem technicznym. Ich globalny czas pracy wynosił w I kwartale br. 1500 godzin. Z tego na sprawozdania dla ministerstwa przemysłu ciężkiego zużyli w tym okresie „1200 godzin. Nie dziwnego — pisał „Polityka”, skoro kwestionariusze wynoszą dosłownie po cztery metry długości.

Znane są wypadki, kiedy inżynier „przeznaczony” w założeniu do prac koncepcyjnych, stuka godzinami jednym palcem na maszynie. „Jeżeli jest tak, że 10 inżynierów dajmy na to pisze w ciągu dnia pracy na maszynie, to jeden z nich w sumie jest maszynistką

— mówi inż. Jablkiewicz. Czy nie lepiej więc przyjąć jedną autentyczną maszynistkę? Tego zrobić nie można, bo administracja np. w przemyśle maszynowym to tabu. Górna granica — 6 proc. w stosunku do całego zatrudnienia. W myśl klasycznych założeń ekonomicznych wzrost kadry winien być równy wzrostowi produkcji. W latach 1961-65 cały przemysł ma wzrosnąć o około 151 proc., a kadra tylko o około 132 proc. Rok rocznie „produkujemy” 7 tysięcy inżynierów i 16 tysięcy techników — więcej uczelnie i szkoły nie mogą. Dlatego tych co mamy, trzeba wykorzystać zgodnie z ich przeznaczeniem, tym bardziej, że np. dla potrzeb planu pięcioletniego zapotrzebowanie na inżynierów pokryte będzie w około 75-80 proc.

Pytania ankiety, która zo-

stanie rozestana do poszczególnych kół NOT w zakładach i będzie oczywiście anonimowa są następujące: stanowisko, czas na przygotowanie planu dnia pracy, czas na pracę wykonywaną i wymagającą kwalifikacji inżynierskich, czas na pracę wykonywaną, a nie wymagającą tych kwalifikacji, czas stracony z powodu braków organizacyjnych, czas poświęcony na konferencje i narady związane z wykonywaniem obowiązków służbowych, czas na pracę nad sobą i doszkalcenie itp...

Odpowiedzi będą stanowić prawdziwy obraz istniejącej sytuacji i podstawę do wszczęcia odpowiednich kroków. Obecnie bowiem nikt dokładnie nie wie, jak jest naprawdę z tymi inżynierami, a wszelkie opinie w tej sprawie są raczej intuicyjne, niż faktycznie udokumentowane.

Czy łatwo być inżynierem?

Wcale nie łatwo, przynajmniej w łódzkim przemyśle włókienniczym. Przemysł ten zatrudnia 123,717 osób. Wyższe wykształcenie posiada tu — 0,77 proc., średnie — 4,2 proc., podstawowe — 65,8 proc. i niepełne podstawowe — 29,23 proc. Jakby się umówili, że im ludzi wykształconych nie potrzeba.

No, bo proszę — np. w przemyśle lekkim pracuje 5.200 pracowników ze średnim wykształceniem, ale uczy się dalej w szkołach wyższych tylko 190. W bawełnianym przemyśle na stanowiskach kierowniczych (od dyrektora do mistrza) — 1.611 osób nie posiadających nawet średniego wykształcenia, ale nadal uczy się zaledwie 203.

Blizsza statystyka okaże się jeszcze bardziej smutna. Na 82 dyrektorów zakładów przemysłu włókienniczego, zaledwie 16 posiada wyższe studia poza sobą, 54 średnie, 12 tylko podstawowe. Przykra sytuacja, prawda? W wypadku naczelnych inżynierów przedsięwzięcia już nie przykra, ale ponura. Jest ich 81. Ale po wyższych studiach tylko 41, po średniej szkole 33, po podstawowej — nie do wiary — 7. Przecież to fenomen w szerokiej skali — naczelny inżynier z podstawowym wykształceniem!

Powiecie — coś tu jest nie w porządku, przecież pracuje naszym miastem Politechnika, gdzie się więc podziwiają inżynierowie? Ano właśnie, my też o to pytamy. Wydział Włókienniczy PE wykształcił już (od początku istnienia) 1.509 magistrów i inżynierów, ponadto dyplomy inżynierów praktyków otrzymało 346 osób. Tymczasem przemysł włókienniczy zatrudnia tylko 541 inżynierów, wliczając już inżynierów innych specjalności, a więc elektryków, mechaników, chemików itp. Z obliczeń wynika, że samych włókienników pracuje tylko 440. Reszta zginęła gdzieś, czy jak? A może brakuje nam zrozumienia dość prostej sprawy, że tam gdzie wchodzi nowe technologie i nowe surowce podstawowe wykształcenie nie może wystarczyć do kierowania produkcją?

Dlatego bardzo podobają nam się dwa hasła, które pragnie obecnie zrealizować KE PZPR. Pierwsze, jakby pozytywistyczne, da się sprowadzić do słów Konopnickiej: „pójdź dziecko, ja

cię uczyć każę”. Nawet jeśli to dziecko jest już nieco starszym i łysawym ko-niem. Drugie hasło sprowadza się do słusznej troski o to, żeby inżynierowie w naszym mieście istotnie znajdowali pracę i chętniej niż dotąd byli widziani w zakładach produkcyjnych.

Bez trzech

„p”

Czyli bez pism, pieczęci i podpisów pracuje bliska naszemu sercu instytucja — Biuro Reklam i Ogłoszeń, przyjmując teksty anonsów instytucji uspołeczniczonych przez telefon. Ta wolna od czynności biurokratycznych forma usługi zrobiła świetną karierę: w ciągu dwóch lat przyjęto przez telefon około 10 tys. pozycji za sumę ok. 6 mln. złotych. W chwili jej zainicjowania wysuwano szereg wątpliwości, zważając na nasze narodowe zamykanie do kawałów telefonicznych i niechęć do terminowego płacenia rachunków. Na kawalarzy są sposoby, a blisko trzyletnie doświadczenie dowodzi, że sumiennosc i akuracność w narodzie rośnie. Jedyny w Polsce łódzki eksperyment pod hasłem: „Dziś telefon — jutro ogłoszenie”, wzbudził zainteresowanie za granicą, na przykład w NRD. U nas niektórych wprowadza wciąż w zdumienie. Zdarzyło się, iż dyrektor pewnego przedsiębiorstwa nie dowierzał, iż dyktowane przez telefon ogłoszenie może ukazać się w druku bezbłędnie zarządzając komisję przekazania jego treści. Musiał się mieć niepysnie, kiedy komisja mimo najszczerszych chęci nie złapała żadnego błędu w druku. Zapomniał biedak, o stosowanym w XX wieku takim urządzeniu jak: „magnetofon. Inni dyrektorzy w ślad za podkrytowanym tekstem są niepotrzebnie nie pisma wraz pieczęciami i podpisami. Tak już do tego nawykli, iż nie wyobrażają sobie, jakie summa summarum kolosalne oszczędności chociażby... papierowe daje ogłoszenie przez telefon. A co do wzrostu sumiennosci w narodzie godzi się zaznaczyć, że z egzekwowaniem opłat nawet za prywatne ogłoszenia drobne, przyjmowane początkowo również przez telefon, też nie było kłopotów. Jeśli tę formę usługi zaniechano, to na razie i z braku warunków lokalowo-technicznych.